

Sta. 745

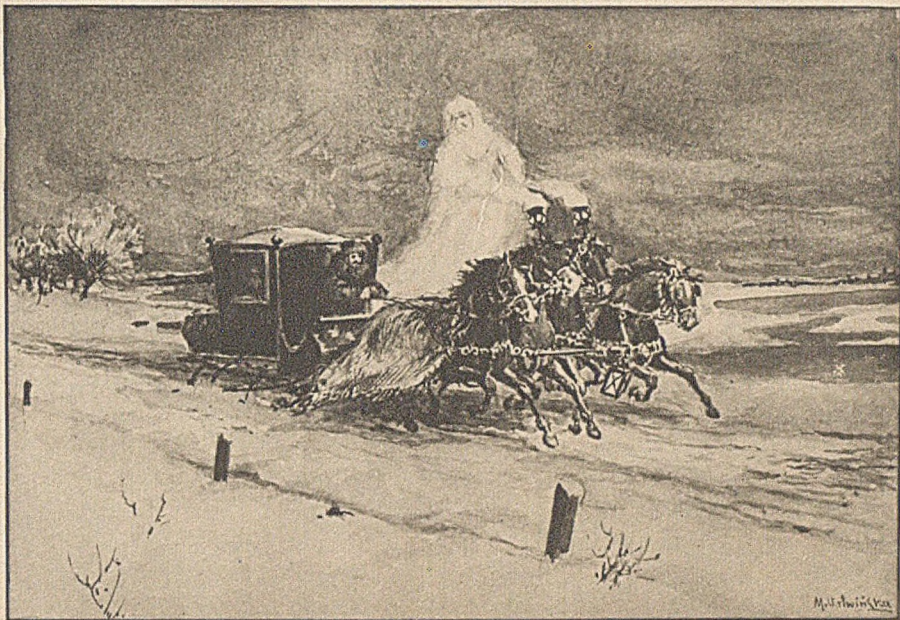


ZUZANNA MORAWSKA

NA POSTERUNKU







Z łona rzeki podnosił się tuman — przybierał postać olbrzymiej, w biały płaszcz otulonej niewiasty.

Na posterunku.

ZUZANNA MORAWSKA




# NA POSTERUNKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA NA TLE ŻYCIA  
KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

Z 5-CIU ILUSTRACJAMI MARJI ARTWIŃSKIEJ

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne  
w Katowicach~~

WYDANIE DRUGIE

POZNAŃ.  WARSZAWA  
NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA



821 162.1-3

~~SN~~ SN 10983



393

## I.

„Przygotować pokoje dla Najjaśniejszego Cesarza Francuzów — o jego przybyciu nie rozgłaszać“.

Taki rozkaz odebrał dnia 12 grudnia 1812 roku właściciel hotelu Angielskiego w Warszawie przy ulicy Wierzbowej.

— Wielki to zaszczyt dla mnie, wielki zaszczyt... — szeptał, czytając rozkaz wręczony mu przez umyślnego kurjera. Nagle jednak ręce mu opadły, zadrżał i tak mu zakołowało w głowie, iż musiał oburącz chwycić się stołu.

— Jezus, Marja! Jezus, Marja! — powtarzał drżącymi ustami.

Aż kurjer, który mu wręczył ów rozkaz, zniecierpliwiony tą bezradnością, rzekł:

— Za dwie godziny najdalej gość przybędzie! Nie rozgłaszać! — dodał.

I nie czekając, zrobił obrót żołnierski i wyszedł, aby dopomnieć się o posiłek i dać również strudzonemu koniowi.

Właściciel hotelu tymczasem chwycił szklanekę wody, wypił ją duszkiem i uchyliwszy drzwi do drugiego pokoju, zawołał:

— Joasiu!

— Czego pan brat życzy sobie? — zapytała, wchodząc młoda panna, dopomagająca bratu w jego kłopotach gospodarskich.

— Ale, co bratu się stało? — pytała dalej, widząc przerażone jego oczy i twarz osłupiałą.

Ten w miejsce odpowiedzi wskazał leżący przed nim papier i rzekł:

— Czytaj!

Sam zaś w niemej bezradności padł na najbliższej stojące krzesło.

Joasia, przebiegłszy pismo jednym rzutem oka, rzekła:

— Czego się brat alteruje? Numery 3, 4 i 5-ty będą zupełnie wygodne, na drugim piętrze dla świty...

— Jeżeli ją ma jeszcze jaką... — dodała z pewną zaciętością i niechęcią.

I z nadzwyczajnym spokojem wyszła, aby dać stosowne rozkazy. Przystanęła jednak chwilkę w korytarzu, jakby sumując coś w głowie, i zaraz zawołała:

— Dać pokój w oficynie temu, co w tej chwili przybył, zanieść śniadanie, pamiętać o jego koniu i przysłać mi dwóch lokajów i dwie służące pod numer 3.

Chłopiec, przyzwyczajony do spełniania w mig rozkazów, pobiegł jak strzała. Joasia zaś szła na pierwsze piętro, rzucając okiem po drodze, czy nie znajdzie coś do zmienienia lub uporządkowania. A idąc myślała:



— Za tę krew przelaną, za tyle ofiar naszych nie mogę z wdzięcznem sercem czynić przygotowania.

I z głębi serca westchnęła.

Właściciel hotelu tymczasem sapał i sapał. Otworzył drzwi na lewo, lecz zamknął je zaraz, nie dając żadnych rozkazów.

Stanął w oknie, spojrział przez zamarzniete szyby, nic nie dojrzał, wzruszył więc ramionami i rzekł do siebie:

— I czego on jeszcze chce? — zatracił tylu naszych!... chyba więcej mu nie damy. Ale to coś jest, — snać prawda, że ucieka, zostawiając naszych na pastwę nieprzyjaciela... — rozmyślał.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł, a raczej wbiegł pan Adam Piwnicki, sekretarz prezesa Rady ministrów Stanisława Potockiego.

— Czy waćpan wie, jakie go szczęście spotyka? — zawołał na wstępie.

Gospodarz zwrócił na niego wzrok zdziwiony.

— Cesarz Napoleon stanie w twoim hotelu! — rzekł niecierpliwie przybyły.

— Wiem, że ma przybyć jakiś gość znamienity, ale czy to jest cesarz? Nie wiem...

— Nie udawaj! — zawołał sekretarz. — Miało to być tajemnicą, ale już wszyscy wiemy.

— Cóż to za szczęście waćpana spotyka... Co za szczęście! — wołał z rozpromienieniem przybyły.

— Czy to będzie szczęściem? obaczymy!  
— odparł obojętnie gospodarz.

— I czegoż waćpan stoisz z założonemi rękami! — wykrzyknął pan Adam.

— Cóż mam robić?

— Jakże? — cesarz! — trzeba jakieś przygotowania... — wołał gorączkowo sekretarz.

— Pokoje będą ogrzane, kąpiel gotowa, w kuchni jest dostatek mięsiwa i ryby, — cóż więcej trzeba? — odrzekł gospodarz.

— Pamiętaj waćpan, żeby wszystko było w porządku, niczego nie zabrakło, tu idzie o naszą tradycyjną gościnność!... o nasz honor!...

— Hotel mój znany jest wogóle z porządku, dobrej kuchni i służby, nie powstydzę się! — odrzekł gospodarz z pewną dumą.

— Co zaś do honoru, ten skąpany jest we krwi, którą Napoleon przelał w dalekich krajach. Nie potrzeba mu już większego blasku... — dodał chmurnie.

Lecz sekretarz j. wielmożnego ministra nie słyszał już tego. Wybiegł, ażeby naocznie się przekonać, czy przeznaczone dla władcy pokoje będą odpowiednie do jego wymagań i wielkości.

Zastał służbę, rozkładającą ogromny dywan, pannę Joannę, nakrywającą stół pyszną makatą i stawiającą na nim świeczniki.

Staroświecki gdański kantorek i reszta mebli w takimże stylu dopełniały całości.

Wesoły ogień palił się na kominku, nad nim zegar z oznaczeniem daty 12 grudnia 1812 roku. Zegar mówił poważnie, miarowo swoje tik-tak, posuwając wskazówki do dwunastej. Wreszcie syknął, oznajmiając, iż wkrótce wydzwoni południe.

Pan Adam, ujrzawszy Joasię, krzątającą się koło przygotowań na przyjęcie władcy, skłonił się dwornie i rzekł:

— Teraz jestem już spokojny, że wszystko będzie godne wielkiego gościa!

I wybiegł, nie patrząc na smutny uśmiech panny, z którym na niego spojrzała.

Tymczasem Napoleon przy moście, prowadzącym do miasta przez Bednarską ulicę, wysiadł i rzucił:

— Idę piechotą, najlepiej znający miasto pójdzie naprzód, inni niech jadą tak, żeby nie zwracali na siebie uwagi.

Wtedy pułkownik Wąsowicz, towarzyszący mu od chwili opuszczenia placu boju, wyskoczył z sanek i w pewnem oddaleniu szedł przed cesarzem. Wysiadając zaś rzucił rozkaz:

— Jechać bocznymi ulicami do hotelu Angielskiego!

Woźnica, znający Warszawę a domyślający się, że wiezie jakieś znakomitości, odrzekł po żołniersku:

— Wedle rozkazu, panie pułkowniku!  
I powtórzył rozkaz innym.

Zaś Rustan, mameluk, nieodstępny sługa cesarza, postawił do góry kołnierz od płaszcza i okrył się szczelnie peleryną, ażeby jego twarz nie zwracała uwagi przechodniów.

Mgła gęsta, spadająca na miasto, dopomagała do zachowania incognito. Zresztą podróżni byli ubrani po cywilnemu, odziani w kożuchy lub płaszcze zniszczone, nie ścigali więc oczu niczyich.

Wąsowicz w krótkim kożuszku, wysokich butach szedł naprzód, za nim o kilka kroków postępował władca otulony zniszczonym płaszczem ciemno-zielonym. Czapkę baranią miał nasuniętą na oczy. Brnął po tającym pod jego stopami śniegu, zostawiając ślady swego grubego obuwia. Idąc zaś rzucił wzrok przenikliwy na wszystkie strony, jakby chciał zapamiętać nie tylko domy, koło których przechodził, ale i mijających go ludzi.

Gdy sanie, idące jakiś czas opodał, minęły go i skręciły na prawo ku kolumnie Zygmunta, uśmiechnął się i rzekł w sobie z pewnym sarkazmem:

— Wspaniałe ekwipaże i świta!

Rzeczywiście sanie były proste o drewnianych pudłach, okryte zwykłemi derami.

Wąsowicz przez wąską szyję Krakowskiego Przedmieścia prowadził władcę Trębacką ulicą.

I oto w chwili, gdy sekretarz hr. Potockiego wyszedł z pokojów, przeznaczonych dla

władcy, a zegar poważnie wydzwaniał południe, zrobił się ruch w przedsionku.

Pan Antoni w czarnym fraku, z ogromnym zielonym fontaziem fularowej chustki pod brodą witał niskim ukłonem przybyłych, jak zwykł witać każdego przyjeżdżającego w po-  
kaźniejszym otoczeniu.

Lokaj zaś, stojący na schodach, z głębokim ukłonem rzekł:

— Pierwsze piętro nr. 3!

I stojąc przyparty do balustrady schodów, trzymał w górę trójramienny świecznik, ażeby oświetlić nie mające żadnego okna schody.

Wąsowicz został w tyle, a Napoleon nie zwracając na nikogo uwagi, wchodził znużonym krokiem.

Piwnicki przyparty do ściany, mógł teraz doskonale przypatrzeć się wchodzącemu.

Miał szczęście, o którym zdawna marzył.

Jednocześnie z przybyciem władcy wjechały w podwórzec sanie.

Rustan wyskoczył z nich i biegł na górę, ażeby być na rozkazy pana.

Rzeczywiście zdążył stanąć, aby zdjąć płaszcz z niego.

Napoleon nie zwracając uwagi na niski ukłon Joasi, zawołał:

— Kąpiel w tej chwili!

— Za godzinę niech się stawi ambasador nasz ksiądz Pradt, prezes rady Stanisław Potocki i minister skarbu Matuszewicz! — rozkazywał dalej.

Joasia, zgięta dotąd w ukłonie, szybko zniknęła.

Rozkaz ten powtórzyła zaraz p. Piwnickiemu, który oszołomiony szczęściem, iż widział tak blisko cesarza, stał jeszcze w kącie przyparty do ściany. Rozkaz, przyniesiony przez siostrę właściciela hotelu, obudził go.

— Ach, panno Joanno, co to za szczęście dla was, że przyjmujecie wielkiego cesarza!

I wybiegł nieść rozkazy.

Joasia jeszcze smutniej się uśmiechnęła i westchnawszy, szepnęła do siebie:

— Przed miesiącem i ja byłabym uszczęśliwiona... dziś... dziś... ja go nienawidzę, nienawidzę!

I powoli zeszła ze schodów, aby dopomagać bratu w przyjęciu niezwykłego gościa.

W godzinę zjawili się trzej wezwani, czekając w przedsionku na rozkazy.

Pradt najpierwej otrzymał posłuchanie.

Przyjął go władca, spożywając po kąpieli rybę z żarłocznością człowieka wygłodzonego.

Rozmowa trwała zaledwie pięć minut. Co z sobą mówili, a raczej, co rozkazywał władca, pozostało tajemnicą.

To tylko pewne, że bezbarwna wogóle, nic nie mówiąca twarz ambasadora przeciągnęła się jakimś przykrym, bolejącym, a nieznanym dotąd nikomu wyrazem.

Pocierał czoło, po którym spływał pot kroplisty.

Przechodząc koło ministrów, nie podniósł nawet ku nim głowy. Szedł, trzymając kapelusz w rękę i tak z odkrytą głową, zataczając się jak pijany, zeszedł ze schodów. Opamiętał się dopiero przed sienią.

Nakrył głowę i wsiadł śpiesznie do oczekującej go karety.

I cesarz był podniecony.

Po wyjściu ambasadora założył ręce w tył i szerokimi krokami przechadzał się po pokoju.

Poły szlafroka, którym się okrył po kąpieli, rozwiewały się, jak skrzydła nietoperza.

Wszystko to jednak trwało zaledwie kilka sekund.

Klasnął w dłonie.

Zjawił się zaraz Rustan, oczekujący rozkazów w przyległej komnacie.

— Ubranie! — rozkazał władca.

Sprytny mameluk przygotował już mundur polski 5-go pułku.

W kilka minut władca odświeżony kąpielą, zdawał się nie pamiętać męczącej podróży.

Spojrzał nawet w wiszące nad kominkiem zwierciadło.

— Prosić ministrów! — rozkazał.

I wszedł do drugiego pokoju.

Pozorny spokój władcy maskował wewnętrzną burzę.

Wszedłszy do przyległego pokoju, urządzonego z przepychem, na jaki się gospodarz

mógł zdobyć, przejrzał się ponownie w lustrze i przybrał wyraz pewnej dobrodusznej łaskawości, która na jego wygolonej, charakterystycznej twarzy w wyjątkowych tylko chwilach gościła.

Wyraz ten dziwnie odbijał od surowego, niskiego czoła, nakreślonego nie ginącą nigdy zmarszczką.

Wchodzący ministrowie zastali go odwróconego plecami do kominka, z założonemi w tył rękami.

Światło płonącego ognia rzucało krwawy blask na postać stojącego, przedłużając się takimiż cieniem na posadzkę.

Na niski, dworski ukłon przybyłych odpowiedział ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Spojrzał zato na nich przenikliwym wzrokiem, jakby chciał wyczytać wewnętrzne ich usposobienie, — może usposobienie całego narodu.

— Nie myślcie, że wojna się skończyła, to dopiero jej początek, — rzekł bez najmniejszego wstępu.

Ministrowie skłonili się w milczeniu, nie okazując żadnym ruchem najmniejszego zdziwienia.

Twarze obu były jak wykute z marmuru, powleczone wyrazem najzupełniejszej obojętności.

— Przekłęty mróz i głód naraził nas na klęski i zmusił do przerwania wojny — mówił



jednym tchem władca. Rozpocznijmy wojnę z wiosną — powodzenie jej od was zależy! — dodał.

Żaden muskuł nie drgnął na twarzy ministrów.

— Gdybym miał całą armję złożoną z tak walecznych żołnierzy, jakimi są Polacy, cała wyprawa byłaby wzięła obrót jak najpomyślniejszy! — mówił dalej władca.

Pochwała ta rozjaśniła nieco oblicze słuchających.

— Byłby to najszcześniejszy obrót dla waszego kraju! — dodał, wpatrując się w ich twarze Napoleon.

Za każdym wyrazem marmurowe twarze ministrów rozjaśniały się coraz więcej.

— Żałuję, że nie ogłosił się waszym królem. Kraj wasz przywrócony już byłby do dawnej... nie, — do najwyższej świetności.

Ministrowie skłonili się w milczeniu.

Napoleon, zaciskając zęby tajonym zgrzytem, zawiesił teraz na nich przenikliwe spojrzenie.

— Wojna, którą prowadzić będziemy na wiosnę, wszystko naprawi... Potrzeba tylko z waszej strony ofiar, — bezmiernych ofiar...

I znów przeszył ich spojrzeniem.

Lecz twarze ministrów, rozjaśnione przed chwilą, powlokły się znów obojętnością.

Wtedy Napoleon, stojący wciąż przy kominku z założonemi w tył rękami, rozplótł

dłonie gwałtownym ruchem, pociągnął palce, aż zatrzeszczały. postąpił parę kroków, jakby się chciał rzucić na milczących, i zdławionym, lecz rozkazującym głosem zawołał:

— Potrzebuję z waszej strony ofiar, — rozumiecie!

— Najjaśniejszy panie, nie szczędziliśmy ich dotąd! — ozwał się Potocki.

— Potrzebuję jak najwięcej ludzi i pieniędzy! — dać je powinniście — musicie! — zawołał władca rozkazującym głosem.

— Najjaśniejszy panie, skarb jest pusty, kraj wycieńczony, — ozwał się Matuszewicz, najlepiej powiadomiony w tych sprawach, jako minister skarbu.

— Skarb trzeba zappełnić! — rzucił cesarz.

Matuszewicz rozłożył ręce, dając tym ruchem znak, iż nie widzi na to sposobu.

Cesarz zrozumiał znak ten i zaraz się ozwał:

— Nie pytamy jak, — rozkazujemy tylko, aby żądania nasze były spełnione!, — krzyknął władca.

— Żądania waszej cesarskiej mości spełnialiśmy zawsze z całą gotowością...

— Spełniajcie je i dalej! — przerwał Napoleon głosem, nie cierpiącym żadnej repliki, ni zwłoki.

— Dziś, wszelkie ofiary przechodzą już siłę i możność narodu! — mówił Matuszewicz, kończąc myśl rozpoczętą.

— Co? . . . — zaharczał groźnie Napoleon.

I spojrzawszy ostrym wzrokiem na mówiącego, wysunął nogę naprzód z takim gestem, jakby chciał nią zdeptać stojącego z nadzwyczajnym spokojem ministra.

— Najjaśniejszy panie, jak jest ze skarbem, tak samo z ludźmi, — ozwał się Potocki. — Ci, co mogli udźwignąć broń, poszli już, zostali jeno starcy i dzieci . . .

— W waszym narodzie starcy i dzieci umieją stać się bohaterami, gdy idzie o odbudowanie ojczyzny! — przerwał Napoleon.

Potocki nic na to nie odrzekł. Twarz swą pełną powagi przyoblekł znów w obojętność.

Napoleon, założywszy ręce w tył, odwrócił się i począł chodzić po pokoju.

— Zresztą, o cóż tu idzie? — rzekł nagle. — O utworzenie marnych 10 000 polskich kozaków, uzbrojonych na wzór rosyjskich. Nie potrzebuję ich przecież na swą własną obronę, lecz na pokonanie Rosji.

A nie słysząc doraźnej odpowiedzi, dodał:

— Pokonanie jej dla dobra waszego kraju.

— Kraj nasz w tej chwili jest tak wycieńczony . . . — ozwał się Potocki.

— A niech was wszyscy diabli porwą! — wrzasnął cesarz, nie hamując już swego uniesienia. — Ja czynię wszelkie wysiłki, żeby was ratować, a wy macie jedną tylko piosenkę: „Kraj nasz wycieńczony“. Tylko piecuchy, darmożłady, leniuchy mogą się tem zastawiać!



Pienił się dalej, wyrzucając cały szereg przekleństw wcale nieparlamentarnych i niecesarskich.

Siadał i wstawał.

Nie chodził, ale wprost latał po pokoju.

Zdawało się, że atak szaleństwa go owładnął.

Ministrowie spoglądali po sobie w milczeniu.

— I czem, czem u wszystkich djabłów ten wasz kraj jest wycieńczony? — zapytał nagle, stając z podniesionymi pięściami tak blisko, że Matuszewicz i Potocki cofnęli się o krok dalej.

— Czem? pytam się, czem? — wrzasnął im nad uchem.

— Najjaśniejszy panie, 90 000 wojska poszło pod jego rozkazy! — ozwał się Matuszewicz silnym, stanowczym głosem, hamując wzburzenie, jakie w nim wywołało zachowanie się cesarza.

— I macie to wojsko, — jest, jest, — nie zginęło!... — rzekł spokojniejszym już tonem Napoleon.

Potocki i Matuszewicz spojrzeli nań ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Cesarz odczuł smać i zrozumiał wzrok ich, rzekł więc:

— Jest, jest to wasze wojsko, tam! — I wyciągnął rękę, jakby chciał wskazać całe szeregi.

— Szli dla własnej idei, dla wydzwignienia swojego kraju, nie dla mojej fantazji lub chro-  
nienia mnie od niebezpieczeństw! — mówił  
jakby do siebie.

— Najjaśniejszy panie, jesteście szczęśliwi,  
widząc cię w tej chwili, — szczęśliwi, żeś  
uniknął tylu niebezpieczeństw!... — ozwał się  
Potocki.

— Jakich niebezpieczeństw? — co wam  
się śni? Kto mógł takie bajki roznosić? — mó-  
wił cesarz, spoglądając zdziwionym wzrokiem.

— Żadnych niebezpieczeństw nie było! —  
dodał spokojnym głosem. — Była wojna, którą  
uważaliśmy za stosowne przerwać, aby nie na-  
rażać szeregów naszych na przekłety klimat,  
którym się szczyli Rosja, jako swym sprzy-  
mierzeńcem. Przerwaliśmy wojnę, aby ją roz-  
począć z wiosną, rozpocząć z większą gwał-  
townością i zgnieść, zgnieść ot, tak!

To mówiąc, chwycił arkusz czystego pa-  
piera, leżący na stole, zgniół, zdusił i wrzucił  
w ogień.

Ministrowie milczeli.

— Tylko głupi i leniwy człowiek w razie  
jakiegoś niepowodzenia opuści ręce i nie będzie  
myślał o wyjściu z niedogodnej pozycji! —  
mówił, patrząc przenikliwym wzrokiem na mi-  
nistrów.

— Co do mnie, mogę żyć tylko w ruchu,  
na koniu, w obozie, na wojnie, zwalczać nie-  
bezpieczeństwa. Przypatrzcie mi się, czy wy-

glądam na zgnębionego? — mówił stając przed ministrami.

— Piecuchy tylko i leniuchy gniją w swoich pałacach, zastawiając się niemożliwością zwyciężenia niebezpieczeństw! — powtórzył raz jeszcze dobitnie.

Panowie, jak widzę, jesteście tu wszyscy zbyt mocno przestraszeni! — dodał spokojniej i usiadł.

— Najjaśniejszy panie, — rzekł Matuszewicz, — byliśmy rzeczywiście w obawie, nie otrzymując wiadomości o waszej cesarskiej mości i o armji.

— Co, armja? — Armja jest wyśmienita, w należyтым porządku, — przerwał Napoleon. 120 000 żołnierza oczekuje dalszych moich rozkazów w Wilnie! Udaję się właśnie do Paryża po nowe trzykroć sto tysięcy wojska. Wojsko to olśni Rosję, zwycięży! — Z żalem opuszczam armję, — ale muszę! Muszę, dla ogólnego dobra ludów! — dodał.

— Stoczę ze dwie, trzy bitwy nad Odrą i za kilka miesięcy znajdę się znów nad Niemnem! — zakończył, jakby do siebie.

Ministrowie milczeli.

Porwał się cesarz i, hamując swe uniesienie, rzekł:

— Sami będziecie sobie winni, jeżeli nie biorąc udziału, nie będziecie zbierali owoców!

— Najjaśniejszy panie!... — ozwał się Potocki.

— Wszelkie ekskuzy i słowa nic nie pomogą! — przerwał gorączkowo Napoleon. — Nam potrzeba czynu, czynu i jeszcze raz czynu! — zakończył.

— Jakimże czynem! mamy dowieść, że jesteśmy zawsze wierni waszej cesarskiej mości? — zapytał Matuszewicz.

— Ha, ha, ha! jakim? — zaśmiał się Napoleon. Ależ dając wojsko i pieniądze!

Obaj ministrowie w miejsce odpowiedzi rozłożyli znów ręce z gestem, wyrażającym niepodobieństwo.

Napoleon gest ten doskonale zrozumiał, udał jednak, że go nie dostrzegł i rzekł dobrodusznym głosem:

— Słuchajcie, żeby wam dać dowód, ile sympatji żywię dla waszego narodu, dam wam asygnację na dwa miliony franków do francuskiego ministra skarbu, drugą na 4 miliony rubli do księcia Bassano, ministra skarbu wojennego. Suma ta jest z kontrybucji ściągniętej w Kurlandji.

— Do was reszta należy — rzekł, podając nakreśloną asygnację. Ludzi musicie dostarczyć, robię wszystko, żeby was ocalić!

Dar przyjęto z ukłonem, lecz chłodno, nie dając żadnych nadzwyczajnych zapewnień.

Napoleon zdawał się tego nie widzieć.

Był jak człowiek, który wszystkiego się chwyta, byle zamiary swoje do skutku doprowadzić.



Zresztą był tak dziwnie rozgorączkowany, iż chwilami można go było uważać za niepo-  
czytalnego.

Wkońcu mruknął:

— Du sublime au ridicule... — co często  
w rozmowie powtarzał.

Nagle spojrział na zegar i zawołał:

— Diable! — ależ to już późno.

Klasnął w dłonie.

Zjawił się Rustan.

— Jeść! dawaj, co znajdziesz!

Ministrowie uklonili się, chcąc się oddalić.

— O, proszę, — nie oddalajcie się, — miło  
mi będzie rozmawiać z panami podczas obiadu,  
— mówił uprzejmie. — Tyleśmy się nagadali  
o rzeczach... rzeczach... — powtórzył jakby  
dobierając wyrazów, — rzeczach obchodzą-  
cych kraj wasz... No i mnie potrochu! — za-  
kończył, śmiejąc się na całe gardło. — Miło  
mi teraz będzie pogawędzić wesoło! — dodał.

Ministrowie skłonili się, pozostając na swo-  
jem miejscu.

Wniesiono najpiękniejszą zastawę, jaka  
była w hotelu. Tace srebrne, półmiski, puhary.

— No, nie taki kraj biedny, jeżeli właściciel  
hotelu ma taką zastawę! — mruknął Napoleon.

I zabrał się do jedzenia jakiejś pysznie  
przyrządzonej ryby.

Jadł, popijając doskonałym winem, a je-  
dząc, sypał anegdotami i dowcipami iście ko-  
szarowemi.



— Diable! — zawołał nagle. — Miałem być tutaj tylko 2 godziny, a tu już pięć upłynęło!

— Zaprzęgać! — rozkazał.

Za pół godziny władca opuszczał Warszawę w tem samem otoczeniu, z którem przybył.

Mrok wieczorny i tumany śniegu zasłoniły go przed oczami ciekawych<sup>1)</sup>).

---

---

<sup>1)</sup> Cała rozmowa i zachowanie się Napoleona powtórzone są wiernie według pamiętników Matuszewicza.

## II.

Zaledwie wielki cesarz opuścił hotel, w którym znalazł kilkogodzinne schronisko, wieść o jego pobycie rozbiegła się po Warszawie. Jedni wierzyli, inni uważali to za jedną z legend, które od rozpoczęcia wojny z Rosją krążyły.

Wieczór więc zeszedł na zapytaniach, na które nikt nie mógł dać odpowiedzi.

Gwarno tylko było prawie w każdym domu, w każdej izbie, począwszy od suterenu do poddasza.

Tu najwięcej się Napoleonem zajmowano. Najwięcej też snuto projektów odwiedzenia go i zapytania, co się stało z wojskiem, które poszło na jego zawołanie.

— Pójdę, pójdę, choćby zaraz! — niech powie, co się stało z moim Jaśkiem, który poszedł i ani słychu o nim — mówiła Wawrzyńcowa, utrzymująca garkuchnię na Starem Mieście.

— Pilnuj komina, nie lataj po próżnicy, — ozwał się małżonek, garncarz z profesji. Nie wpuszczą cię tam przed oblicze najjaśniejszego...

— Co to, nie wpuszczą! — zawołała kobieta, ująwszy się pod boki.

— Brać nasze dzieci, to brał na zatracenie, a teraz nie mianoby wpuścić matki? Pięściami drzwi rozwałę, a dotrę! — dodała, zaperzając się coraz więcej.

— Macie rację, moja kumo! — ozwała się Piotrowa zieleniarka, która właśnie w onej chwili przyszła do niej na gawędę.

— Pójdziemy obie, toć jeżeli wy daliście jednego, to moich dwóch poszło! — dodała smutnie.

I wstała z ławy, zabierając się do wyjścia.

— Albo wiecie, zbierzemy się wszystkie, ile nas w pobliżu. Każda ma tam swego chłopaka, ma prawo się upomnieć! — zawołała Wawrzyńcowa.

— Jak się nas zbierze kupa, muszą drzwi otworzyć! Sam cesarz zbaranieje, gdy nas tyła obaczy! — trzepała dalej z wielkim ferworem.

— Tak, tak, wszystkie, jak jesteśmy! — potwierdziła sąsiadka.

— Wy macie głowę, no, no do wszystkiego — pochwaliła.

— I język! — mruknął mąż pod nosem.

— Ba! — potwierdziła właścicielka gar-kuchni, zadowolona z pochwały.

— Jeno moja kumeczko, idźcie, nie czekając — zwołajcie, kogo się da i pójdziemy, choćby o północy — komenderowała z zapalem Wawrzyńcowa.

— Ba, ale dokąd? Gdzie on obrał sobie siedzibę? — spytała nagle.

— No, no, już ja się dowiem! — uspokajała Piotrowa.

I posłuszna komendzie, chwyciła chustkę, zarzuciła na głowę i wybiegła.

I chodziła od domu do domu, od drzwi do drzwi, nie tylko do dobrze znanych i zaprzyjaźnionych, ale nawet do takich, z którymi dotąd ani słowa nie zamieniła lub żyła w jakimś podrażnieniu.

Wszędzie ją przyjmowano z otwartymi rękami.

Otwartymi też oczami i uszami słuchano opowiadania. Nawet te, co krzywo na nią dzisiejszego ranka jeszcze patrzyły, teraz obejmowały uściskiem, mówiąc:

— Moiście wy! Moiście wy!

Wiadomo, troska i starania o jej odwrócenie jednoczy.

Wawrzyńcowa tymczasem krzątała się koło komina, przyrządzając na jutro flaki.

Dokładała łoju i rozmaitych przypraw, a już ziela i pieprzu nie żałowała. Obracała przy tem językiem, że i pieprz zamiast w stepie, byłby się doskonale umieł.

— Jakości Piotrowa nie wraca!... — zdołał wtrącić małżonek, stawiając garnek, który polerował.

— Wróci. wróci, nie mam kłopotu! — odrzekła kobieta z pewnością siebie.

Przywykła bowiem, że jej rczkazy zawsze były spełniane.

— Toć już i kawał w noc... — wtrącił Wawrzyńc.

— Niech będzie i po północy, — wrzasnęła żona, — dla matki upomnieć się o swoje dziecko, zawsze pora!

W tejże chwili słyszeć się dały zmieszane głosy niewieście i otrząsanie ze śniegu ciężkiego obuwia.

— Niech będzie pochwalony! — ozwała się pierwsza z przybyłych.

— Na wieki! — zdołał uprzedzić żonę garncarz.

Wchodziły i wchodziły, gadając głośno jedna przez drugą.

Zrobiło się gwarno i ciasno. Niewiast było ze trzydzieści.

— No, jesteśmy! — ozwała się z triumfem Piotrowa.

— A toście się gracko, moja kumo, sprawili — pochwaliła gospodyni.

Piotrowa rozpromieniona pochwałą, poczęła opowiadać, co to ona użyła, nim wszystkie zebrała.

— Poprawdzie, nie mieliście moja pani Piotrowo, wielkiej biedy i nie potrzebowaliście nas namawiać, — ozwała się jedna.

— Ba, do takiej sprawy nie potrzeba nikogo brać na powróż! — ozwała się druga.

— Wszystkie mamy na wojnie chłopaków, to i wszystkim pilno dowiedzieć się i rozpytać o nich — dorzuciła trzecia.

I jak zaczęły rozpowiadać o swojej gotowości przybycia, tak zrobiło się gwarno, że aż Wawrzyniec, natuliwszy czapkę na uszy, wyniósł się do alkierza.

Upłynęła też przeszło godzina, nim, wysłuchawszy komendy Wawrzyńcowej, zabierały się do wyjścia.

— A ta po co? — zawołała nagle Wawrzyńcowa, wskazując na młodziutką dziewczynę.

— Toć to moja córka Jagusia, — znacie ją przecie. Ona wie gdzie, to nas poprowadzi, — odrzekła Piotrowa.

Garncarzowej nie w smak było, że taka oto dziewczyna miała je poprowadzić, ale nic nie rzekła.

Jeno pod nosem mruknęła:

— Taki skrzat i to ma wiedzieć.

Wtem wszedł Paweł, terminator w kunszcie garncarskim.

Dłużej siedział w garncarni, bo chciał dopilnować, żeby ogień obejmował wszystkie garnki, a nie wyszedł zbyt na dach i nie zrobił pożaru.

Ujrawszy tyle niewiast, stropił się wielce.

Że jednak Wawrzyńcowa lubiła się chwalić z tem, co robi, zaraz mu wyłożyła dokumentnie, poco i dokąd się udają.

— A toć że to już dawno po północy — ośmielił się odezwać Paweł.

— A tobie co do tego, czy po północy? — wrzasnęła majstrowa. — Idź, zjadaj kluski, com ci zostawiła, i spać, żebyś ranka nie zarwał — dodała. — A czuwaj, żebyś otworzył, gdy wrócę — rozkazywała.

— Juści! mruknął Paweł, przepuszczając przed sobą cały szereg niewiast. Potem zaś, jakby sobie coś przypomniał, począł:

— Pani majstrowo, pani majstrowo!

— A czego tam?

— Toć-że niech pani majstrowa nie chodzi, bo gadali, że cesarz już odjechał....

— A ty skąd wiesz? — toś ty zamiast wypalać garnki, włóczył się po mieście i plotki zbierał! — krzyknęła. — Dam ja ci! — zawróciła się z podniesioną pięścią.

Lecz Pawła już nie było.

Zniknął w izbie, zasuwając drzwi pośpiesznie.

— A to ci wałkoń! — zadowolila się wykrzyknikiem Wawrzyńcowa.

— Oni to wszyscy tacy! — potakiwała jedna z kobiet.

— Dam ja jemu! — odgrażała się Wawrzyńcowa. Żeby tak Jasiek nie był poszedł na tę nieszczęsną wojnę, nie potrzeba byłoby obcego — utyskiwała. — Ale niechno Jaśka wydestanę, wypędzę tego nicponia. Jak mi Bóg miły, wypędzę! — odgrażała się dalej.

Tak utyskując na swoje troski, nieposłuszeństwo czeladzi, na skąpstwo i próżniactwo mężów, mąciły ciszę nocną, zapominając prawie, co je wywołało od ciepłego komina o tak późnej porze.

Brnęły w ciemności po śniegu. Gdy z wąskiego Dunaju przez Podwał dochodziły do Krakowskiego Przedmieścia, zegar na zamku uderzył: „raz“.

Raz jeden tylko.

— Cóż to miałyby być już pierwsza? — spytała któraś z kobiet.

— Gdzie zaś! — odrzekła inna z zacieklejszych.

Wawrzyńcowa szła jak dowódca naprzód, nie uważając ani na uderzenie zegara, ani na gadanie kumoszek. Aż nagle spytała:

— Idziemy, — a wiemy to dokąd?

Wszystkie stanęły stropione tem pytaniem.

W zaciekłości swojej zapomniały o najważniejszej rzeczy. Zapomniały dowiedzieć się, gdzie mieszka najjaśniejszy cesarz.

— Pewnikiem w zamku! — rzekła jedna.

— A gdzieżby indziej! — taka osoba! — jeno w zamku — potakiwały inne, patrząc na czarne mury Krakowskiej bramy, przez którą miały się dostać na Plac Zamkowy.

— Toć to nie tamtędy? — szepnęła Jagusia, pociągając matkę za rękę.

— A którądy? — spytała Piotrowa, która zagadawszy się, szła za innemi.

— Już ja poprowadzę, — przecie dziś byłam po pieniądze akurat, kiedy miał przyjechać, — odrzekła rezolutnie Jagusia.

Przekonana tem Piotrowa pośpieszyła za zdążającemi ku Krakowskiej bramie.

— Hej, hej, jejmoście! — wołała zdyszana.

— A co tam? — spytała Wawrzyńcowa.

— Toć to nie tam, nie tamtędy! — objaśniła Piotrowa.



— A czemuście nam wprzód nie powie-  
dziali? — odrzekła z oburzeniem Wawrzyń-  
cowa.

— A któż mnie pytał? — burknęła ziele-  
niarka.

I zawróciła się.

Zawróciły za nią i inne.

Zrównały się z Jagusią, która czekała  
z kilkoma mniej zacieklemi niewiastami.

— Poprowadzę jejmoście przez Senator-  
ską, będzie najbliżej, — ozwała się Jagusia.

— Przez Senatorską do zamku? — wrza-  
snęła Wawrzyńcowa.

— Przecie on nie w zamku — odparła Ja-  
gusia.

— A jeno?

— Niech jejmoście idą, to się dowiedzą, —  
mówiła Jagusia, zadowolona, że stanie się wa-  
żną osobą.

I szła naprzód obok matki.

Wawrzyńcowa niezadowolona, że jej ode-  
brano dowództwo, mruzczała:

— Same nie wiedzą, a chcą prowadzić.

— Jakto nie wiemy! — toć Jagusia była  
właśnie po pieniądze za jarmuż, kiedy się zro-  
bił rumor, że przyjeżdża — powtórzyła Pio-  
trowa.

— A no, w hotelu Angielskim! — odrzekła  
z pewnością siebie zieleniarka.

— A gdzież ten angielski? — spytały.

— Toć was prowadzę!

Wawrzyńcowa zaś nie chcąc zejść z raz  
przyjętej roli, pouczała:

— Jeno nie ustępować, żeby tam nie wiem co, nie ustępować — wołała.

— Cóż to, on naszą krew brał na zatrącenie, a my nie miałybyśmy prawa upomnieć się o naszych synów? — mówiła.

— Juści, juści — potakiwały inne.

Ale nie doszły jeszcze do palacu Prymasowskiego, gdy stróż nocny je zaczął:

— A dokąd to jejmoście?

— Po naszych synów! — odparła Wawrzyńcowa z taką pewnością, jakby ci synowie stali szeregiem, czekając tylko na ukazanie się swych rodziolek. Stróż stropił się tą śmiałą odpowiedzią, kiwnął głową i rzekł westchnawszy.

— Z Bogiem!

Lecz przy skręcie na plac Marywilu czyli pp. Kanoniczek, pacholek miejski zastąpił im znów drogę.

Z tym była sprawa nieco zawilsza.

— Czego się to włóczycie, więdźmy przekłete! — krzyknął.

— A ty skurczypało! — nie widzisz to, że jesteście panie majstrowe, porządne niewiasty! — wrzasnęły chórem.

— Majstrowe, czy czeladnikowe, wszystko jedno. Po północy nie wolno się włóczyć! — odparł stróż publicznego porządku.

— Zagarnę was do kozy, i tyle!

— Żebyśmy cię w kozi róg nie zapędziły, — zawołała Wawrzyńcowa. I skinęła na towarzyski.

I nim się obejrzał, leżał w zaspie śniegu, nie mogąc się z niej wygramolić.

Pchnięcie bowiem krzepkich dłoni rozniewanych niewiast i kułaki, jakimi go poczęstowały, były tak silne, że odebrały mu przytomność. Uszczęśliwione ze swego zwycięstwa, szły dalej w doskonałym usposobieniu.

— Teraz nam się wszystko powiedzie! — ozwała się jedna.

— Ba, czemu nie! — zawtórowały inne.

Dotarły wreszcie do hotelu Angielskiego. Okna ciemne obwieszczały, że mieszkańcy śpią snem sprawiedliwych. Bramę zastały również szczelnie zamkniętą. Nie odstraszyło to jednak zdeterminowanych na wszystko niewiast.

Poczęły walić pięściami.

Łoskot przywołał innego pachołka pilnującego porządku.

— A wy tu co za brewerje wyprawiacie? — zawołał, podnosząc dużą okutą laskę z potężnym nagłówkiem, znak swojej władzy, zwany pałką.

— Przyszliśmy po synów naszych, co ich cesarz Napoleon zabrał na wojnę!

— A to lećcie za nim w świat! — odrzekł, śmiejąc się pachołek.

— Nie potrzebujemy w świat, jeno tu, gdzie obrał sobie siedzibę, — odparła Piotrowa.

— Zwarjowały! Cesarz jest już może o kilka mil za Warszawą, — rzekł, zanosząc się od śmiechu pachołek.

Kobiety stropiły się jakoś, lecz nie dowierzały.

Jednocześnie za bramą hotelu zrobił się ruch. To służba nasłuchiwała, kto tam z zapóźnionych gości się dobija. Usłyszawszy gwar głosów niewieścich i śmiech pacholka miejskiego, ktoś ze śmielszych odsunął zaporę okienka, znajdującego się w bramie.

Dostrzegła to Wawrzyńcowa i zaraz poczęła wykladać całą sprawę. Spotkał ją ten sam śmiech i też sama odpowiedź, którą słyszała od stróża publicznego porządku.

Zaczęła się więc miotać i wykrzykiwać na nieczułość i obojętność ludzką.

Inne w płacz, nie szczędząc również wymysłów.

Wszczął się hałas.

Zniecierpliwiło to pacholka. Gwizdnął w świstawkę i brzęknął szablą, w którą każdy był uzbrojony.

Na odgłos świstawki zbiegli się pacholcy ze wszystkich sąsiednich ulic.

Kobiety lamentowały, bo pacholcy chcieli je zagarnąć na ratusz za naruszenie spokoju.

Wszczęła się sprawa, powiększył się jeszcze hałas, tu i tam jakaś twarz ukazała się w oknie.

Przestraszony gwarem właściciel hotelu wyszedł, odziany naprędce. Wybiegła i siostra jego Joasia.

Ujrzała ją Jagusia.

Zieleniarka, odbierając często pieniądze z jej rąk za jarzyny, znała dobrą panienkę.

Dalejże w prośby:

— Panienko kochana, nie pozwólże na ten despekt, boć mnie znasz.

— A to moje kumy! — wtrąciła Piotrowa, wskazując na towarzyszki, — przyszłyśmy do cesarza Napoleona po naszych synów.

I poczęła opowiadać, co je sprowadziło.

— Cesarz wyjechał o zmroku! — upewniała Joasia.

— Niechże tam już jedzie! ale za cóż nas mają brać do kozy, jak jakie złodziejki albo włóczęgi.

Żal się zrobiło dobrej Joasi tych nieszczęśliwych matek, dalejże przekładać i prosić pacholków.

— Ręczę, że to są uczciwe kobiety, puście je do domu!...

Zmiętkło jakoś serce pacholków. Ten, co zwołał innych, rzekł:

— Jeżelić panienska za was ręczy, nie pójdziecie do ciupy! — ale cicho ani słowa!

Kobiety umilkły.

Pachołcy odprowadzili je na Dunaj. Na ten raz sprawowały się cicho.

Popłakiwały tylko, przyrzekając sobie w duszy zemścić się na Wawrzyńcowej i Piotrowej, że je do tej wyprawy namówiły.

Tylko Jagusia nie straciła rezonu.

Mocno zadumana, sumowała coś sobie w głowie.

---

### III.

W kilka dni po nagłym zjawieniu się Napoleona w Warszawie i jeszcze naglejszym jego wyjeździe, przybył do Jabłonny książę Józef Poniatowski.

Żaden nadzwyczajny goniec nie oznajmił jego przybycia, poprzedził go tylko wierny sługa, mimo lat podeszłych, wciąż Michałkiem zwany. Michałek, czyli jak go niższa służba nazywała imci pan Michał, od lat najmłodszych był w usługach księcia.

Podzielał z nim chwile wesołości i uciechy między 1807 i 1809 rokiem, był wtajemniczony we wszystkie jego sprawy, ale zarazem podzielał i wszelką złą dolę.

Nie opuszczał go też podczas życia w obozie za pobytu w Rosji, bolejąc nad niewygodami i niebezpieczeństwem, na jakie książę był narażony.

Lecz zarazem uśmiechał się i prostował, gdy książę odniósł zwycięstwo. Wtedy z dumą mówił do otaczających:

— Widzicie, jaki nas honor spotyka! nasz książę to nie tylko książę, ale bohater, sława narodu! Ta sława spływa i na nas, że w jego

usługach pozostajemy, nie byle to honor być blisko takiego bohatera — dodawał.

Teraz przybył do Jabłonny, aby urządzić na przyjęcie pana tę część pałacu, w której najwięcej lubił przebywać.

— Niechajże po tylu trudach i niewygodach zażyje choć trochę wczasu i spokoju, — niech choć trochę wypocznie! — mówił do służby, dyrygując przygotowaniem.

— Bo to i na nogę jeszcze nietęgo...

— A cóż mu to, ranny? — zapytał ktoś ciekawie.

— Dziękować Bogu, nie, — Bóg go jakoś salwował, ale zsiadając z konia, nadwreżył ją sobie, bodaj nadłamał czy zwichnął. Leżał jakiś czas biedaczek i naczelne dowództwo musiał innemu powierzyć. A to go bodaj najwięcej bolało...

Nie dokończył jeszcze pocziwy Michałek swego opowiadania, jak nie dokończono jeszcze urzędzenia pokojów, gdy pokojowiec wpadł, wołając radośnie:

— Książę pan przyjechał!

Zrobił się rumor.

Michałek wybiegł na spotkanie.

Książę, nie czekając na nikogo, wchodził na schody. Kulał nieco i podpierał się laską.

Uśmiechnął się, spostrzegłszy Michałka i rzekł:

— No, stary, dobiliśmy nareszcie pod własny dach!

— Dzięki Najwyższemu, dzięki Najwyższemu! — odpowiedział Michałek, zginając się w ukłonie.

I z młodzieńczą żywością zdejmował z księcia zaśnieżony płaszcz, mówiąc:

— Pokój jaśnie oświeconego księcia ogrzany, wszystko w nim jak dawniej; zaraz wonnych gałązek jedliny każę podłożyć na kominku.

Księżę uśmiechał się łaskawie.

Z prawdziwą przyjemnością dążył pod ten dach, który mu tyle przyjemnych i wesołych chwil przypominał.

A dążył śnać spieszenie, jadąc w ostatnich dniach na prostych chłopskich saniach z trzema zaledwie przybocznymi, bo zjawił się o całe 24 godziny prędzej, nim się Michałek spodziewał.

Rozejrzał się teraz po ulubionym swoim pokoju, roztarł ręce przy trzeszczącym ogniu na kominku, spojrział na jeden z portretów kobiecych, zdobiących ścianę, uśmiechnął się gorzko, rzucił w ogień jakiś wonny bilecik, spoczywający dotąd nietknięty na biurku, i skrzywiwszy się nieco, rzekł sam do siebie:

— Jakie to wszystko marne, ach, jakie marne!

I przechadzał się, poglądając na ściany i sprzęty, jakby chciał je przywitać.

Czoło przytem marszczył i smutek miał na twarzy.

Wtem wszedł służący, oznajmiając:



— Podano śniadanie!

Księżę poczuł w tej chwili, że jest głodny, i z przyjemnością przeszedł do codziennej swej niewielkiej jadalni.

Stół, zastawiony naprędce, wydał mu się teraz szczytem wykwintu i elegancji.

Zajadał z wielkiem upodobaniem.

Dwaj oficerowie przyboczni którzy z nim przyjechali, zajadali również z apetytem.

Dawno już takich potraw nie jedli.

Księżę rozmawiał z nimi, rzucając od czasu do czasu jakieś słówko Michałkowi, stojącemu z wielkiem uszanowaniem przy bufecie i przypatrującemu się z miłością wiernego starego sługi.

Lecz wśród tej rozmowy znać było, że myśl księcia błądziła gdzie indziej. Zmarszczka, pojawiająca się na pięknym jeszcze jego czole, świadczyła o tem widoczniej.

Skończywszy śniadanie, zwrócił się do Michałka i rzekł:

— Za godzinę obudź mnie, sanie niech będą gotowe, jedziemy do Warszawy.

Noc ciemna otuliła świat swoim skrzydłem.

Śnieg wśród ciemności zdawał się jeszcze bielszym, migotliwe światło latarni, przytwierdzonych do głów końskich, rzucało fantastyczne smugi na białą powierzchnię śniegu. Brząkadła uprząży i dzwonki wygrywały smutną, jakby żałobną melodię. A może, a może tylko

pograżonemu w swych myślach księciu tak się zdawało.

Poglądał przez okno karety i nagle wzrok więcej jeszcze wyteżył.

Przejeżdżali właśnie nad Wisłą, tuż pod samą Warszawą.

Z zaśnieżonego łona rzeki podnosił się biały tuman...

Szedł razem z jadącym i przybierał postać olbrzymiej, w biały płaszcz otulonej niewiasty. Szła wprost ku niemu.

Szła, patrząc nieruchomemi, smutnemi, jakby załzawionemi oczyma.

Przybliżała się do karety... Zdawało się, że uczepli się jej drzwiczek i twarz swą białą na jej szybach położy.

— Biała dama!<sup>1)</sup> — szepnął bezwiednie prawie książę. — Jakież ona wywróży nam nieszczęście! — pomyślał, przymykając oczy.

Gdy je otworzył, zjawiska nie dostrzegł. Mgła, układająca się fantastycznie, zniknęła.

Po wyjeżdżonej drodze na powierzchni zamarzłej rzeki sunęły sanie tąż samą drogą, po której kilka dni temu przejeżdżał Napoleon.

Część mostu tylko unosiła się na palach w miejscach, gdzie lód na rzece niedostatecznie był silny, ażeby dźwigać ciężary.

Książę wyteżył wzrok w dal, nigdzie nie widział już ani śladu zjawiska.

---

<sup>1)</sup> „Biała dama“, która według podania miała się ukazywać nie tylko ks. Józefowi, lecz i innym członkom rodziny Poniatowskich.

— Gra wyobraźni!... halucynacja!...  
A trzeba mieć umysł świeży, trzeźwy...

I starał się myśлом swym nadać inny kierunek.

Zrzadka rozstawione olejne latarnie migotały żółtym blaskiem.

Sanie kryte i odkryte, paradne i zwykłe w swojej prostocie mijały się dość gęsto, po-brzękując dzwonekami.

— Mimo wszystko, co się tam działo... co się stało, życie idzie swoim torem, nie zatrzymując się w biegu... — myślał ks. Józef.

— Jedni się bawia, drudzy krew przelewają, giną z głodu i zimna — dodał. — Brrr! — wstrząsnął się na to wspomnienie.

Sanie zajechały przed pałac „Pod blachą“, zwykłą księcia w stolicy siedzibę.

Za nim zajechały drugie, wioząc wiernego Michałka i konieczną służbę.

I tu „Pod Blachą“ było gotowe wszystko na jego przyjęcie. I tu palił się ogień na kominku. Spodziewano się przecież przybycia księcia. Wierny Michałek, dowiedziawszy się, że jada do stolicy, pchnął zaraz z rozkazem, żeby nie zapomniano o kominku.

Mimo to wszystko chłód jakiś powiał z niezamieszkałej siedziby.

— Brrr! — wstrząsnął się książę.

Chłód to, czy wspomnienie „Białej Damy“ wywołało wstrząśnienie.

Dla odpędzenia wspomnienia zjawiska zasiadł zaraz do przeglądania papierów, które znalazł na biurku.

Na drugi dzień po przybyciu księcia zjawili się ministrowie Matuszewicz, Stanisław Potocki i kilka innych znakomitych osób.

Witali go jako bohatera. Chcieli się też z ust jego dowiedzieć prawdy o klęsce, która w wieściach, przychodzących do kraju, przybierała coraz bardziej olbrzymie rozmiary.

— Nie chcę panów łudzić, klęska jest tak wielka, iż naród nasz nigdy większej nie doznał! — mówił książę z wielką boleścią. — Ba nie tylko naród nasz, lecz bodaj żaden, nawet w najodleglejszej przeszłości! — dodał.

Wszyscy smutnie po sobie spojrzeli.

— Przecież były znakomite potyczki, zwycięstwa? — wiemy o bohaterskich czynach księcia, oraz wielu naszych wodzów... — ozwał się Potocki.

— Tak, były zwycięstwa! Stanał jednakże taki wróg, którego ani armaty, ani bohaterstwo, ani żadna ludzka siła zwyciężyć nie zdoła...

Wszyscy patrzyli na mówiącego z wielkim przejęciem.

— Tym wrogiem był mróz i głód, odwieczni sprzymierzeńcy Rosji, których cesarz Napoleon nie wziął w rachubę... — zakończył książę z gorzkim uśmiechem.

Cisza zaległa. Słyszać było tylko ciężkie bolesne westchnienia.

— Tak, — począł znów Poniatowski, — nie kule i zastępy nieprzyjacielskie nas zmogły, zmógł nas niebывały mróz, który nie dziesiątkował, ale wprost tysiącami zabierał wygło-

dniałych ludzi i konie. Z olbrzymiej armji zostało tylko trochę niedobitków — zakończył.

— A jednak cesarz chce rozpocząć wojnę na wiosnę... — ozwał się Matuszewicz.

— Ha, ha, ha... zaśmiał się książę.

— Chce nowych zasiłków pieniężnych i ludzi, — mówił Potocki, — powtarzając dokładnie całą rozmowę z cesarzem.

— I damy, damy — zawołał książę. Trzeba walczyć do ostatniej chwili, żeby potomność nie powiedziała, iż opuściliśmy sposobność i okoliczności, prowadzące do odrodzenia kraju.

— Tak, trzeba być na posterunku, — dodał ze smutną determinacją.

I znów zaległo milczenie.

Wtem wszedł służący oznajmiając:

— Jego ekscelencja ambasador ksiądz arcybiskup de Pradt.

Książę Józef skinął głową.

— Nie jestem, jak widzę, pierwszy, — rzekł po przywitaniu ambasador. — Panowie uprzedzili mnie w oddaniu rewerencji jaśnie oświeconemu księciu — dodał, zwracając się do ministrów.

Matuszewicz i Potocki przybrali maskę urzędową.

Odpowiedzieli uprzejmym uśmiechem.

Poufna rozmowa się przerwała.

— Kilka dni temu witaliśmy w tym samym komplecie najjaśniejszego Napoleona, dziś witaliśmy bohatera! — mówił uprzejmie Pradt.

— Tak, tak! — mruknął Potocki, aby coś powiedzieć.

— Wypadki w nieubłaganym swym biegu następują po sobie, mówił dalej przybyły. — Otrzymałem wieść, że księżę Bassano z furgonami sztabowemi i kasą wyjechał już, ciągnąc do Warszawy.

— Przybycie jego wraz z kasą bardzo nam się przyda, — wtrącił Matuszewicz, myśląc o asygnacji danej przez Napoleona.

— Przybędą zapewne wkrótce i nasi wodzowie — rzucił księżę Józef.

— Ach, tak, — codziennie ktoś przybywa, — odrzekł ambasador, — smutne tylko, iż nie przynoszą z sobą okrzyków zwycięskich.

— Przynoszą za to rany, wspomnienie krwi przelanej, głodu i mrozu, — rzekł księżę z nieznaną dotąd u niego goryczą.

— A jednak cesarz żąda, żebyście panowie dostarczyli nowych zastępów dla prowadzenia dalszej wojny. Żąda 10 000 polskich kozaków, którymi obiecuje sobie pokonać Rosję.

— Wiemy o tem, lecz żądanie to jest niemożliwe do spełnienia — ozwał się Matuszewicz.

— To już sprawa wasza, miłościwi panowie! — wycedził powoli de Pradt. — Sprawa czysto narodowa, wasza osobista! — dodał z naciskiem.

W ten sposób prowadzona rozmowa nie tylko nie kleiła się, lecz schodziła na przykre drogi wymówek, których nie szczędzili ministrowie.

Ambasador słabo je odpierał.

Przybycie nowych osób, przychodzących złożyć hołd naczelnemu wodzowi wojsk Księstwa Warszawskiego, przerwało rozmowę.

W oczach przybywających księżę czytał zapytanie:

— Gdzie jest powierzone ci wojsko?

— Coś z niem uczynił?

Rozumiał to pytanie i bolał.

Srodze bolał.

Hołdy te i odwiedziny były wprost dla niego męczarnią.

---

#### IV.

Wodzowie polscy jak Kniaziewicz, chory jeszcze Zajączek bez nogi, którą stracił pod Smoleńskiem, i wielu innych, oraz chore niedobitki zaczęli ściągać do kraju. Warszawa napełniła się rannymi i chorymi. Nie było domu, gdzieby nie urządzono doraźnego przytułku dla tych zbiedzonych nieszczęśliwą wyprawą ludzi.

Nawet najbiedniejsi dobijali się o potrzebujących wypoczynku.

Panie majstrowe i przekupki biegły z pomocą na wyścigi.

Każda zaś matka mówiła sobie:

— Może cośkolwiek dowiem się o synu...

Ojciec zaś dodawał:

— Przygarniemy biedaka, może też i nasz dozna u innych opieki...

I z bólem patrzono na okaleczonych bohaterów. Okaleczonych, nie tylko od kuli, czy pałasza, lecz od srogięgo mrozu.

Było więc dużo takich, którym palce u rąk i nóg poodpadały, ba, i cała ręka lub noga. Byli bez nosów, uszów, często z odmrożonym policzkiem.



Jenerał Dąbrowski szczątki swojej dywizji poprowadził na Kalisz, Potocki, zwany popolicie „Stasiem“ stryjeczny ministra, piąty z kolei zastępca ks. Józefa, jako naczelnego wodza, zgromadził resztki korpusu polskiego. I oto o świcie 25 grudnia 1812 r., gdy pobożni ze mszy, zwanej pasterką, wracali, wprowadził je do Warszawy.

— Należy się sprezentować księciu Józefowi Poniatowskiemu, jaśnie oświeconemu naczelnemu wodzowi — mówił do dowódców oddziałów.

— Należy — odpowiedziano z westchnieniem.

I wczesnym rankiem, gdy jeszcze wszystkim pieśni kolendowe w uszach brzmiały, uszykowane resztki walecznych pociągnęły przed pałac „Pod Blachą“.

Słońce tego dnia wyjrzało jasnym blaskiem z za chmury.

Był to 1-szy dzień Bożego Narodzenia.

Tłumy wyległy na ulicę, żeby powitać ten promyk słońca.

Doszły też posłuchy, że wojsko wraca.

— Może i syn mój jest między nimi — mówiły matki z bijącym sercem.

— Może... wtórowali ojcowie ze smutnym westchnieniem.

Wyszła jejmość Wawrzyńcowa, i Piotrowa, i wszystkie nasze znajome tak nieszczęśliwie zawiedzione w swojej wyprawie do Napoleona.

Nie broniono wyjść czeladnikom, nawet i terminatorom, i posługaczom.

— Niech zobaczą tych, co wracają — mówiono.

Paweł od garncarza świętował w całej pełni.

Stał na czele wielu sobie podobnych, a przestępując z nogi na nogę i rozgrzewając je hołupcem mówił:

— Niechno ja zobaczę to wojsko, a niech nowe się utworzy, to mnie majstrowa tyle ujrzy, co swoje ucho!...

— Pójdiesz? — zapytał któryś z towarzyszków.

— Ma się wiedzieć! — odparł rezolutnie Paweł.

— Kiej mówią, że wojna skończona... wtrącił inny.

— Głupiś! — skończona jedna, to zaczną drugą — burknął zawadjacko chłopak.

Zgromiony podrapał się za uchem.

— Powiadają, co się nie powiodła...

— I dużo biedy nasi użyli...

— Głupiście wszyscy, — nie powiodła się jedna, powiedzie się druga! — wołał z ferworem Paweł.

— Wojsko zawsze potrzebne — dodał.

— Juści, juści! — potwierdzano.

— Niech jeno zawołają... — począł któryś.

— Pójdziemy! pójdziemy! — przerwali najoporniejsi.

Pawłowi oczy zaświeciły.

Wtem dał się słyszeć głuchy, ciężki turkot.

— To armaty prowadzą... ozwał się ktoś z tłumu.

I wyciągnął szyję, żeby je jak najprędzej zobaczyć.

Po chwili ukazał się długi szereg armat.

Zataczano je „Pod Blachę“.

Było ich czterdzieści.

— Wszystkie, ile ich wyprowadzono! rzucił ktoś świadomy rzeczy.

Więcej nawet...

Były i cztery zdobyte...

Te prowadzono oddzielnie.

Ustawiono je też osobno na placu przed pałacem. Słońce rzuciło na nie blade swe promienie. Błyszczały!

Ocalały chorągwie. Ani jednej nie utraciono... Rozwinięte przyćmiewały niepewny blask słońca. Wiatr powiewał proporcami, wygrywając tęskliwą nutę.

Lecz wśród tego wszystkiego serca nie drgały radością.

Smutny był nastrój...

Nikt z tłumu nie wykrzyknął:

— Victoria!

Żadna niewieścia chustka nie powiewała radosnem witanem.

Patrzono!...

Patrzono i z bijącym sercem oczekiwano wojska...

Ukazały się szeregi.

Napozór garstka ta nie była znużona.  
Nadrabiali miną.

Lecz jakaż garstka.

Dziewięćdziesiąt tysięcy wyszło. A teraz?  
Teraz było zaledwie czterystu.

Garstka.

Cóż to znaczy?

— Gdzie reszta? Gdzie? — zadawano  
sobie wśród tłumu pytanie.

A garstka ta uszykowała się przed oknami  
siedziby księcia Józefa.

Żaden okrzyk radosny nie wydobył się  
z ich piersi... Żadne słowo powitania. Pod-  
nieśli tylko wzrok zamglony.

Na balkonie stał ich wódz umiłowany.

I z jego piersi nie wyrwał się okrzyk ra-  
dosny. Rzucił wprawdzie jakieś słowo zdła-  
wionym głosem... I w tej chwili zakrył obu  
dłońmi oczy i rozszlochał się jak dziecko.

Czy ten płacz ujrzeli lub usłyszeli prezen-  
tujący broń przed jego domem wojacy? Czy  
wprost udzielił im się bezwiednie? dość, że po  
ogorzałych licach tej garstki walecznych po-  
płynęły łzy...

Łzy gorzkiego bólu... Płynęły one z oczu  
dowódców i żołnierzy.

Zdawało się nawet, że konie podzielały to  
smutne powitanie... Pospuszczały łby...

Łzy udzieliły się tłumowi.

Z każdej piersi wyrwało się ciężkie west-  
chnienie.

Jeden szloch ogarnął wszystkich.

I całe przestworze przesiąknięte było jednym cichem, bolesnym łkaniem.

I nikt nie zauważył, że blade leniwe słońce skryło się w swojej kolebie.

Skryło się, a natomiast gwiazdy poczęły się ukazywać.

Najpierwszy ksiązę Józef opamiętał się ze swego nadmiernego smutku.

Wychylił się i uroczystym rzekł głosem:

— Słońce skryło się przed naszymi oczami, ale ukazały się gwiazdy. Jedna z nich, niech będzie przewodniczką naszych zamiarów. Póki bije w piersi choć jedno serce gotowe do poświęcenia i ofiary, gwiazda nasza nie zgaśnie. Wytrwamy na posterunku!

— Wytrwamy! — powtórzyły uroczystym głosem resztki niedobitków.

— Wytrwamy! — krzyknęły tłumy.

Ksiązę Józef zniknął z balkonu.

Teraz dopiero rozwiązały się języki.

Tłum przystępował do żołnierzy. Każdy z wyciągniętą dłonią i słowem:

— A pójďteż do nas pod dach!

— Przełamcie z nami chleb!

— Podzielimy się, choćby ostatkiem!...

— Uczyńcie nam ten honor!... — zapraszano.

Wawrzyńcowa niepomna na nic, przeciskała się między szeregami. Nie dziw. Szukała syna. W każdym r. słym, mniej zmizeroowanym zdawała się jego widzieć.

Toż samo inne kobiety...

Napróżno...

Mimo to zapraszały przybyłych.

A w duszy grała im jedna myśl. Myśl grająca już od początku wojny:

— Dowiem się może o swoim.

Wojakom nie trzeba było zaproszenia powtarzać. Dowódcy nie sprzeciwiali się temu. Sami pragnęli po tak długim skołataniu odechnąć atmosferą ojczystą — pozwalali i żołnierzom.

Odprawdzono jednak najpierw armaty na plac broni, umieszczono konie. Dopomagali im mieszczanie, a nawet znakomitsi obywatele miasta.

Kobiety rozeszły się do domów, by przygotować dla zaproszonych przyjęcie.

I był to wieczór, a raczej noc, w której roztajały serca pełne oczekiwania i bólu.

A ksiązę Józef, siedząc w swoim gabinecie, myślał:

— I czemu, czemu nie oparłem się i poprowadziłem tyle ofiar na jego rozkazy? — zadawał sobie po setny już raz pytanie. I setny raz odpowiadał sobie:

— Myśl oswobodzenia kraju i honor wojskowy kazały mi to uczynić. Aż doczekałem tego smutnego dnia!... rzekł głośno, myśląc o resztkach szeregów.

— Dzień ten, jakkolwiek smutny, może być posłem lepszej przyszłości!... — usłyszał w odpowiedzi.

Zerwał się, odwracając w stronę, skąd głos dochodził.

— Ach, to ty, drogi przyjacielu! — zawołał, wyciągając dłoń na powitanie.

— Ja, — odrzekł książę Antoni Sułkowski<sup>1)</sup>.

— Wszedłem bez meldowania, mając raz na zawsze pozwolenie ku temu.

— Ach, tak, tak! — przyświadczył książę Józef. I potarł ręką czoło.

— A przyszedłem chyba w porę, żeby przerwać smutne myśli naczelnego wodza! — dodał z uśmiechem przybyły. — Takie sam na sam z sobą może źle oddziaływać nie tylko na zdrowie księcia, ale i na usposobienie ogółu, — ciągnął dalej. — Temu, co stoi na widowni, przewodnicząc narodowi, nie wolno oddawać się smutnym refleksjom! — dodał.

Książę Józef gorzko się uśmiechnął.

— Od chwili powrotu żyjesz jak anachoreta, nie przyjmujesz nikogo, nie odpisujesz nawet na listy pięknych pań, które radeby cię

<sup>1)</sup> Ks. Antoni Sułkowski, syn ks. Antoniego, kanclerza koronnego, po zwycięstwie Napoleona w 1806 r. i wejściu armji francuskiej wystawił swoim kosztem pułk pieszy i był jego pułkownikiem. Bił się w Hiszpanji roku 1808. Roku 1812 był dowódcą brygady w korpusie ks. Poniatowskiego; — ranny pod Możajskiem i Smoleńskiem wrócił do Warszawy. Roku 1813 jako generał dywizji, bił się pod Lipskiem. Po śmierci ks. Józefa został naczelnym wodzem. Odprowadził resztki wojska nad Ren, a nie chcąc dalej służyć, wrócił w Poznańskie do majątku swego Rydzyny. Zmarł roku 1836 jako członek Rady państwa pruskiego.

widzieć w swym salonie lub ujrzeć się w twoim, — mówił dalej Sułkowski.

— Ach, tych listów i bilecików leży cały stos! — rzekł niechętnie gospodarz.

Sułkowski rzucił okiem na biurko i zawołał.

— Co nawet nierozpieczętowane?

— Wiem zgóry o ich treści; chcąc na nie odpisywać lub poświęcać czas na usługi korespondentek, musiałbym nie tylko noce, ale i dni całe być na ich usługi — odrzekł gospodarz.

— A tyle jest rzeczy ważnych do załatwienia, — dodał, zamyślając się na nowo.

— Prawda, jest dużo do załatwienia — odrzekł przybyły, zamyślając się również.

— Przyznasz jednak książę, — mówił dalej, — że rozpatrywanie się w tych rzeczach i ciągła myśl o nich może spowodować melancholję, która wcale nie jest dobrym doradcą.

— Dalejże, mości książę, dodał wesoło, — sięgnij po jeden z tych bilecików, może który na weselszą cię nutę nastroi.

Książę Józef, ociągając się nieco, wziął pierwszy lepszy z brzoza, rozłamał pieczętkę, a nie zaglądając do wnętrza, podał go przyjacielowi i rzekł:

— Przeczytaj...

— A jeżeli to tajemnica? — uśmiechnął się Sułkowski.

Książę niedbale skinął ręką i rzekł:

— Tem lepiej, przestanie być tajemnicą!  
Gość czytał:



„Jaśnie oświecony Książę!

Czekasz, jak widzę, zaproszenia, chociaż z wielu względów należałoby się ze mną przywitać. Jutro u mnie, jako w pierwszy dzień Bożego Narodzenia przyjęcie. Oczekuję księcia.

Marja ze Świdzińskich Lanckorońska,  
Kasztelanowa Połaniecka“.

— Powinienem się był tego domyśleć po adresie polskim... — rzucił książę Józef<sup>1)</sup>.

— Jest i post scriptum... — odrzekł Sułkowski i czytał:

P. S. Wszystkie damy naszego świata znajdziesz księżę u mnie.

— Doskonale się składa — zawołał Sułkowski.

— I ja otrzymałem zaproszenie, przyszedłem nawet, ażeby księcia namówić, bo mam ku temu rozkaz od pięknych pań, które chcą go koniecznie ujrzeć.

Książę Józef uśmiechnął się po swojemu.

— Więc jedziemy? — nalegał gość.

— Ha, jedźmy! — odparł gospodarz.

---

<sup>1)</sup> W owym czasie wszystkie panie i wogóle osoby tak zwanego towarzystwa pisały zwykle po francusku. Tylko znana z cnót obywatelskich kasztelanowa Połaniecka używała ojczystego języka i w jej domu nikt nie śmiał inaczej się odezwać.

## V.

Kasztelanowa Połaniecka zajmowała obszerny dom księży misjonarzy na Ś-to Krzyżskiej ulicy.

Ulica ta w owym czasie była już prawie na końcu miasta.

Mimo to całe towarzystwo odwiedzało w dni oznaczone zaciętą, bardzo już wiekową matronę, a na każde zaproszenie zbierało się w całej pełni.

Dom kasztelanowej pod każdym względem różnił się od innych ówczesnych salonów.

Zbytek i chęć bezgranicznego użycia, jaki po przejściach rewolucyjnych zapanował w Paryżu za rządów wielkiego cesarza, przeniósł się szybko do Warszawy.

Ba, rozsiadł się nawet w całym kraju. Warszawa więc jaśniała przepychem. Nazywano ją małym Paryżem. Tak ją nazwali licznie w niej przebywający cudzoziemcy. Tak nakazywała moda.

Do mody tej nie stosowała się kasztelanowa Połaniecka. Jak ona sama, tak i cały jej dwór był wprost ówczesnej mody i ówczesnej przesady najzupełnijszem przeciwstawieniem.

Jako osoba bardzo podeszłego wieku, nie przywdziewała szat lekkich, zbyt lekkich, a wszelką przyzwoitość lekceważących. Zachowała strój poważny do jej wieku i położenia kraju najzupełniej zastosowany.

Zato dom jej miał cechę prawdziwie wielkopańskiego domu.

W obecności kasztelanowej nikt nie poważał się używać francuszczyzny. Ówczesne towarzystwo łamało sobie język, starając się mówić u kasztelanowej po polsku. Mimo to krępowanie dom kasztelanowej zawsze był pełen gości.

Odwiedzali ją nawet ambasadorowie dworów zagranicznych i znakomici cudzoziemcy, przebywający licznie w Warszawie.

Dla tych robiła wyjątek, rozmawiała z nimi po francusku, mówiąc:

— Trudno żądać, żeby cudzoziemiec odrazu polskiej mowy się nauczył.

Często omawiano tam nawet i przeprowadzano sprawy, które na zebraniu urzędowym trudno byłoby przeprowadzić.

To też i w dniu onym, kiedy ks. Sułkowski i ks. Józef podążali na zaproszenie zacnej matrony, — salon jej roił się od cudzoziemców.

Nie byli oni w liczbie zaproszonych, — lecz czuli się w obowiązku złożyć w dzień Bożego Narodzenia swą uwagę zacnej matronie.

Między innymi znalazł się i książę Basano, najpoufniejszy Napoleona i skarbnik jego wojenny.

Kilka dni temu nadciągnął z Wilna z furgonami i kasą.

Piękne panie uszczęśliwione, że będą mogły choć na chwilę porzucić twardą ojczyzną mowę i napaplać się po francusku, otoczyły przybyłego, udając wielkie zainteresowanie co do jego niebezpiecznej podróży.

— Na taki czas.

— Wśród śniegów i niewygód!

— Wśród czyhających nieprzyjaciół!

Wykrzykiwały cieniutkim głosem.

Lecz książe zbywał grzecznym, układnym komplimentem, rozglądając się, czy nie spotka kogo z Rady.

Jakoż wkrótce ujrzał ministra skarbu Matuszewicza. Wycofał się więc zręcznie z grona dam, zbliżył się do niego. I po przywitaniu zapytał:

— Kiedy ekscelencję będę mógł zastać dla pomówienia o sprawach, sądzę, obu nas obchodzących?

Minister zamyślił się i z kolei zapytał:

— Czy książe chce poufnego sam na sam, czy może być kto więcej z Rady?

— Sądzę, że sprawy, obchodzące cały wasz naród, nie powinny być przy drzwiach zamkniętych omawiane, — odrzekł wymijająco Bassano.

— Więc... — począł minister.

Lecz skarbnik najjaśniejszego Napoleona przerwał:

— W każdym razie pragnąłbym z ekscelencją słów kilka pomówić.

— Dobrze się składa, bo i ja mam księciu rzeczy poufne do zakomunikowania, — odparł minister.

— Możebyśmy jutro przedwstępną konferencję odbyli? zapytał nagle Bassano.

— Owszem, jutro o godzinie 1-szej z południa, — odparł Matuszewicz.

Wejście arcybiskupa Pradta usunęło ich w cień. Wszystkie oczy zwróciły się na przybywającego. Była to persona grata, przedstawiciel samego cesarza, — rozstąpiono się więc z wielkiem uszanowaniem.

Rozmowa tak ogólna jak i w poszczególnych kółkach nagle ustała. Zrobiła się cisza. Wszelka uwaga i spojrzenia skierowały się na dostojnika.

Pradt w fioletach z podniesioną głową, z uśmiechem nic nie mówiącym, przywartym do również nic nie mówiącej twarzy, posuwał się do gospodyni domu.

— Co to znaczą te fiolety, których nigdy nie nosi?

— Skąd się wziął?

— Chyba nie zaproszony? — szeptano.

Rzeczywiście kasztelanowa nie myślała nawet o zaproszeniu tego dostojnika. I ona również, jak goście, zdziwiona była jego przybyciem. Niemniej podniosła się ze swego staroświeckiego fotelu i uczyniła kilka kroków dla powitania arcypasterza i ambasadora.

Nie czyniła tego honoru nikomu, teraz uważała za stosowne powitać w ten sposób przybyłego.

Pradt z całą układnością wygłosił:

— Wiem, że w Polsce pierwszy dzień Bożego Narodzenia jest dniem radości i ogólnego zespolenia, wybrałem więc dzień ten dla złożenia hołdu najzacniejszej z niewiast, dając zarazem dowód, jak pragnę iść ręką w rękę z narodem, wśród którego doznaję tyle gościnności.

I powiódł okiem dokoła, a wzrok jego mimowoli spoczął na całym szeregu surowych twarzy, patrzących nań z portretów, i zawisł na portrecie Kościuszki, zdobiącym jedną ze ścian głównych.

Było to jedno mgnienie oka, ale było.

Kasztelanowa, oddawszy po raz wtóry ukłon pełen godności, odpowiedziała:

— Wielki to honor dla mnie, że dostojnik Kościoła i przedstawiciel najjaśniejszego Napoleona na moje ręce składa cześć naszemu narodowi.

Poczem wskazała mu miejsce na fotelu po prawej ręce.

Pradt wogóle nie był lubiany. Nie umiał sobie zjednać sympatji narodu, dla którego tę sympatję nie tylko przybyciem do domu kasztelanowej, lecz i słowy wyrażał.

Mimo to cały szereg najwybitniejszych osobistości przesunął się przed nim, składając powitanie.

Tylko książe Bassano skrył się jeszcze więcej w cień, żeby nie być spostrzeżonym. Nie lubił ambasadora. Byłby nawet może wy-

sunął się niepostrzeżenie, gdyby prosta grzeczność nie nakazywała mu złożyć pożegnalnego ukłonu gospodyni domu.

A może przykuwała go ciekawość.

Ciekawość, która wszystkim nasuwała pytanie:

— POCO PRADT tu przybył?

— Zaszło coś między nim a cesarzem, chce sobie u nas zjednać popularność — mówiono.

Odetchnęli wszyscy, gdy po kilku minutach wyszedł.

Wtedy ks. Bassano począł szukać znów ministra skarbu. Nie mógł go znaleźć wśród licznie napływających gości. Zmarszczył brwi z niezadowoleniem; uważał wszakże za stosowne opuścić już salon kasztelanowej.

Dla zamienienia z nią kilku słów, wyrażenia jej raz jeszcze hołdu i może dla dowiedzenia się coś o rozmowie z Pradtem zbliżył się do zacnej matrony.

Ta jednak w krótkiej, nic nie znaczącej rozmowie nie wspomniała o dostojnym gościu.

Bassano widząc, że nic się nie dowie, składał jej ukłon pożegnalny.

— Jeżeli książe nie ma nic lepszego na dzisiejszy wieczór, proszę pozostań z nami — rzekła uprzejmie.

— Będzie to dla mnie najwyższem szczęściem i przyjemnością, — odrzekł ze zwykłą sobie przesadą. I położył rękę na sercu.

Zbliżenie się innych osób dla powitania kasztelanowej kazało mu się usunąć.

Znajdowanie się w licznych gronie najwybitniejszych ówczesnych postaci było mu bardzo na rękę. Miał polecenie od cesarza wybadać umysły i ogólne usposobienie potrzebnych mu osób.

Gdzież lepiej mógł to uczynić, jak w tym salonie. Szczęście mu posłużyło, znów napotkał Matuszewicza. Co więcej napotkał go rozmawiającego ze Stanisławem Kostką Potockim, prezesem Rady ministrów.

Twarz mu się rozpromieniła; przystąpił do nich i rzekł:

— Ponieważ kasztelanowa kazała mi pozostać, panowie nie będą mieli nic przeciwko temu, że im przedłożę to, co miałem jutro powiedzieć.

Ministrowie spojrzeli po sobie i prawie jednocześnie wyrzekli:

— Słuchamy.

I zaraz usunęli się we framugę okna, gdzie było najmniej rozmawiających.

— Najjaśniejszy pan polecił mi gorąco popierać przyszłoroczną kampanję i prosić o zasilenie pustego skarbu, — począł.

— Najjaśniejszy pan dał nam czek na 4 miliony rubli do skarbu, którym książę zawiaduje, — ozwał się Matuszewicz.

— Jakto, jak? do skarbu wojennego? -- porwał się Bassano gwałtownie.

— Zapominamy, gdzie jesteśmy, — mitygował go Potocki.



Opatrzył się zaraz zausznik Napoleona i rzekł przyciszonym, zdławionym głosem:

— Skarb pusty, pusty... skąd, skąd?

— Te cztery miliony rubli są z kontrybucji, ściągniętej z Kurlandji, — ozwał się Potocki.

— Ależ, ależ pieniądze te kazał sobie cesarz odstawić do Paryża... — jęknął Bassano.

— Zapewne zmienił projekt, bo jesteśmy w posiadaniu czeku własnoręcznie przez jego cesarską mość napisanego i podpisanego; — rzekł dobitnie Matuszewicz.

I nie dodając nic więcej, usunęli się obadwaj z Potockim.

Ks. Bassano zagryzł wargi i rzekł w sobie:

— Co się stało cesarzowi?... Co za nieogłędność, żeby dawać pieniądze, zamiast wyzyskać z Polaków jak najwięcej... Chce im się odrodzenia, swobód... niech płacą...

W tej chwili żałował, że przyjął zaproszenie kasztelanowej.

Na pociechę zaś myślał dalej:

— Może mi uda się jakoś wykręcić od wypłaty czeku... w każdym razie muszą wystawić tyle żołnierza, ile cesarz zażąda... Muszą! — dodał, czyniąc jakieś postanowienie.

I przysunął się do jednej z dam, sypiąc opowiadania o rozmaitych śmiesznych zdarzeniach podczas pobytu z Napoleonem w Moskwie.

Lecz najwidoczniej prześladowało go jakieś fatum. Dama bowiem słuchała go z roz-

targnieniem, zwracając wzrok na ruch wśród gości. Wejście ks. Józefa i Sułkowskiego pochłonęło ją całą.

Wszyscy też zwrócili na nich uwagę.

Gdy pierwsze powitania umilkły, skarbnik Napoleona starał się zbliżyć do ks. Józefa. Niełatwem to było, — otaczało go mnóstwo dam, zasypując pytaniami.

Uchwycił jednak właściwą chwilę.

Zbliżył się wtedy z powitaniem.

— Aa! — zawołał ks. Józef z niemiłym zdziwieniem.

Przypomniały mu się bowiem chwile, gdy w Wilnie skarbnik nie chciał wydawać ze swoich furgonów odzieży dla marznących polskich szeregów.

Zamienili jednak słów kilka.

A ks. Bassano rzekł:

— Nim nam porwą jego książęcą mość i nim nadejdzie oficjalna ku temu chwila, muszę mu zakomunikować żądanie najjaśniejszego Napoleona.

Ks. Józef spojrział na niego w milczeniu.

— Najjaśniejszy pan już na wsiadaniu polecił mi prosić jego książęcą mość, żeby pod swoje rozkazy jak najwięcej zebrał polskich szeregów.

— Co? — przerwał ze zdziwieniem naczelny wódz, marszcząc czoło, które przy wejściu jaśniało dawno nieznaną pogodą.

— Najjaśniejszy pan zawiadomi jego książęcą mość, gdzie i kiedy oczekiwać będzie jego

przybycia wraz z umundurowanym żołnierzem,  
— mówił dalej Bassano.

— Rozmawiałem z cesarzem Napoleonem i przy ostatnim widzeniu wyraziłem mu w tej kwestji swoje zapatrywania . . . — odrzekł chłodno ks. Józef.

Był też niesłychanie wdzięczny, gdy jedna z dam, zbliżywszy się, wzięła go pod rękę, mówiąc:

— Ach, zostawcież te wielkie sprawy i pozwólcie księciu odetchnąć choć na chwilę inną atmosferą!

Poniatowski z przyjemnością dał się wprowadzić.

Bassano zaś pomyślał sobie:

— Nie szczęści mi się w tym domu, — i po niejakię chwili wyszedł niepostrzeżenie.

Na drugi dzień gruchnęło po mieście:

— Ks. Bassano ze wszystkimi bagażami opuścił Warszawę!

Czek został niewyplacony . . .<sup>1)</sup>

Jeszcze nie zdołano przetrwać tej arcy-sensacyjnej i arcyprzyjemnej wieści, gdy druga nadbiegła:

— Arcybiskup Pradt został nagle odwolany! — Na jego miejsce Napoleon mianował Bignona, który poprzednio już był ambasadorem w Warszawie.

---

<sup>1)</sup> Prawdziwe.

## VI.

Mimo, iż życie biegło napozór swoim trybem tak w Warszawie, jak i w całym kraju, pod tą zwierchnią powłoką wyczuwać się dawał jakiś ferment.

Wszystkie zakątki kraju przepelnione były wracającymi z tej nieszczęsnej wojny. Nie było domu, gdzieby nie pielęgnowano rannego, silnie oszpeconego, który wprost lękał się wyjść na światło dzienne, pokazać się ludziom.

Najszcześliwsi jeszcze byli ci, którzy odmroziwszy palce, chodzili z owiniętymi kikutami, lub podpierając się kijem suwali na stopach bez palców. Gorzej i boleśniej było tym, których nos, policzek, ucho lub oko zostało w odległych śniegach.

Wszędzie zaś oplakiwano zaginionych.

We dworze pana wojskiego Ignacego Męckiego nad Orzycem oplakiwano syna jedynaka. Nie wiedziano, — zginął, — czy w niewoli... Dawano tymczasem przytułek nieszczęśliwym.

Wkrótce dwór pana wojskiego zamienił się w szpital.

Pani wojska wraz z szesnastoletnią Basią Liwską i kilkoma pannami swego dworu większą część dnia spędzały na opatrywaniu rannych, drugą na szyciu bielizny, skubaniu szarpi, przyrządzaniu maści i leków.

Basia, jakkolwiek najmłodsza z całego grona otaczającego starościnę, — była jej prawą ręką. A była też i ulubienicą. I nic dziwnego. Wychowała ją od najrańszego dzieciństwa.

Ojciec Basi jako zapalony Napoleończyk zginął we Włoszech, matka, mieszkająca w sąsiedztwie Męcic, zaprzyjaźniona z panią Elizą, umierając, oddała jej w opiekę swą rok mającą córeczkę.

Basia więc była sierotą, ale sieroctwo to nie dawało jej się tak bardzo uczuć.

Pani wojska bowiem kochała ją i pieściła jak własną córkę, pan wojski zaś nie tylko dbał, żeby niewielkie mienie sieroty nie doznało uszczerbku, lecz patrząc na małe dziewczątko, mówił do żony:

— Strzeż moja jejmość i wychowuj to maleństwo, Bóg da, będzie z niej kiedyś żona dla naszego Modesta.

Nazywał ją też często synową.

Basia tak się zrosła z tą nazwą i tak przywykła do starszego od siebie o lat pięć Modesta, — iż wprost uważała się za jego narzeczoną.

Modest również nie miał nic przeciwko temu, a ile razy wrócił ze szkół z Warszawy, a Basia nie wybiegła na jego spotkanie, dopytywał:

— A gdzież moja narzeczona?

Gdy wychodził by stanąć w szeregach, idących na wojnę r. 1812 pod Napoleonem, zegnali się jako narzeczeni.

Rodzice nawet pobłogosławili, pozwalając na zamienienie pierścionków.

— Wracaj do nas i do niej, — mówiła matka, kładąc ostatni pocałunek na czole syna.

— Idziej, bo tak być powinno, — wróci, bo również tak być powinno! — rzekł pan wojski, nadrabiając miną, żeby nie okazać nadmiernego wzruszenia.

— Wróci, — o z pewnością wróci, — dodała Basia z takim przeświadczeniem, jakby powrót jego był zapewniony przez wyższą siłę.

I teraz, gdy państwo wojscy z coraz większą troską oczekiwali syna, uspokajała ich, mówiąc:

— Wróci, z pewnością wróci. — Bóg nie będzie chciał nas zasmucić.

Rozpraszało to na chwilę smutek rodziców, czepiali się tych słów, jak deski zbawienia, — jak wogóle każdy stroskany czepia się najmniej uzasadnionej nadziei.

Ale i na Basię przychodziły chwile zwątpienia i swoje „wróci“ coraz rzadziej powtarzała. Co gorsza, ilekroć powtórzyła, ogarniał

ją jakiś lęk, którego nie umiała ni przyciszyć, ni wytłumaczyć.

Koiła te lęki i troski bezprzesanną pracą, dzieląc z przybraną matką starania koło rannych.

W staraniach tych dopomagał im Zygmunt Szerski, jeden z rannych, z odmrożonemi nogami. Był on lekarzem, mógł więc przychodzić im z pomocą.

Gorzej było z panem wojskim. Ten w chwilach, gdy go nikt nie słyszał, mówił:

— Gdyby nie ta kula, co mi od roku 1794 świdruje po cielsku, zostawiłbym znów jak wtedy żonę i poszedł... Bylibyśmy się jakoś obaj z chłopakiem krzepili... albo... oba zmarli... Oj, boć ich nie kule, a mróz i głód zwyciężył!

I chodził od okna do okna wyglądając. Ale okna zmarznięte, ledwo przepuszczały światło. Wychodził i nasłuchiwał.

Zawieja prawie codzienna nie pozwalała kulejącemu nieco i choremu bardzo się oddalać.

Nasłuchiwał...

Gęsto padający śnieg nie pozwalał precisnąć się żadnym dalszym odgłosem. Dolatywały go zaledwie zwykle głosy z gospodarskiego podwórca.

Sąsiedzi często nawiedzali Męcice, spiesząc z pomocą dla rannych, których tam przygarnięto. Przynosili też rozmaite wieści. Przynieśli więc i o powrocie ks. Józefa, — o reszt-

kach wojska, które mu się sprezentowały przed Blachą i o łzach jego...

I w oczach państwa wojskich łzy zabłysły. Resztki wróciły, ich syna niema...

Wśród takich trosk i smutków styczeń r. 1813 dobiegał do końca.

Pewnego dnia przyjechał starosta Bielski. Wracał z Warszawy, miał pełno wiadomości. Słuchano go z natężoną uwagą.

— Szykuje się nowa wojna, — zaciągają się do niej nowicjusze, — mówił między innymi.

Wojski smutnie zwiesił głowę.

— Jenerał Dąbrowski ma już pięć tysięcy szeregowców.

— Skądże ich wziął? — przerwał wojski.

— Ha, Napoleon najwidoczniej zna nas lepiej, niż my siebie, powiedział bowiem: „Polacy są takim narodem, że gdy potrzeba, staną nawet dzieci i starcy“.<sup>1)</sup>

— I stanęli, — mówił przybyły.

Szerskiemu, siedzącemu w tej chwili przy kominku, oczy błysnęły. Basia, skubiąca szarpie, zwróciła ciekawy wzrok na mówiącego.

A ten opowiadał dalej:

— Chodkiewicz, bodaj Antoni, który nie-mało się biedy w wojnie najadł, zebrał na Litwie pułk i umundurował go swoim kosztem.

— Słowem, nie przepadła nasza sprawa... A i ja mam polecenie, żeby ściągać nowych

---

<sup>1)</sup> Dosłowne.



ochotników i zapisywać ich pod sztandary ks. Józefa...

— Jakto, księżę Józef chciałby iść znów z Napoleonem — przerwał wojski.

— Najwidoczniej. — Powiada, że musimy stać na posterunku, nie omijając żadnej okoliczności, żeby nas nie posadzono o obojętność.

— I dokądże, dokąd Napoleon chce ich znów poprowadzić? — przerwał powtórnie gospodarz.

— Dokąd, — z tego się nikomu nie spowiadał. Powiedział tylko, że musi dokonać tego, co raz zamierzył. W r. 1813 chce dać odwet za porażkę, jaką poniósł w 1812, — odrzekł starosta. I jakoś sam się zamyślił.

Chwila była zupełnej ciszy, aż znów się ozwał przybyły:

— To tylko najsmutniejsze, że wojska rosyjskie ciągną ku nam wielkimi krokami...

— Gdzie, kiedy, którędy? — porwał się wojski.

— Jenerał rosyjski Wintzingerode zbliża się już podobno do Płocka, — toruje drogę ces. Aleksandrowi, który spieszy na Warszawę, — mówił powoli starosta.

Wszyscy zwrócili oczy na niego.

Wszyscy w słuch się zamienili.

— Więc znów, — znów nowe teatrum wojny... — rzekł wojski.

I oczy mu się zaświeciły, może na wspomnienie walk, jakie sam ongi staczał.

Na ten temat prowadzona rozmowa przynosiła nowe kombinacje i nadzieje.

Starosta nie mógł myśleć o wyjeździe. Szalona, niezwykła zawieja nagle się zerwała. Nie pozwalała na odjazd, choćby w tak pilnej sprawie jak zbieranie ochotników.

Wysyłano, żeby się przekonać o możliwości wyjazdu, każdy z najsmielszych i najodważniejszych wracał, mówiąc.

— Ani koń, ani człowiek drogi nie znajdzie. Było to tak dwa dni z okładem.

— Aura sama stawia przeszkody... — mówił wojski.

Starosta był wprost zgryziony. Rozmawiał coś tam z rannymi. Ale po każdej rozmowie myślał:

— Cóż, — mają dobre chęci. — ale to są kalecy...

Na trzeci dzień o świcie przestało sypać. Wyjaśniło się nawet i blade słońce wyrzało nieco.

Starosta kazał zaprzęgać.

Wtem podstarości wszedł i rzekł:

— Melduję — jwielmożnemu dziedzicowi, jeden z ludzi, których wysłałem po drzewo do lasu, wrócił...

Wojski machnął ręką z lekceważeniem, chcąc odprawić mówiącego.

Ale ten nie odchodził, tylko przestępując z nogi na nogę, mówił:

— Przywiózł jeno trochę drzewa, bo okrutnie zawiało, ale za to opowiadają, że tam od północy ciągną jakieś wojska...

— Pleciesz, — przerwał wojski, — boć sam powiadasz, że drogi niema.

— To też oni spędzają ludzi ze wsi i każą śnieg odwalać... Dlatego też i nasi drzewa nie przywieźli, bo ich zapędzili do śniegu, — jeno Walek zdołał się wymigać...

Wszyscy zwrócili oczy na mówiącego.

— A ponoć te wojska gadają nie naszą mową... — dodał.

— Czy nie wojska rosyjskie?... — szepnął wojski.

Starosta spojrział na niego.

Kobiety pobladyły.

— Upraszam jwielmożnego dziedzica, mozeby bydło i konie gdzie uprowadzić... Boć to czasu wojny rozmaicie bywa... — doradzał podstarość.

Wtem w oddaleniu dały się słyszeć jakieś dźwięki...

Wszyscy nie wyłączając kobiet wylegli przede dwór.

Dźwięki były bardzo odległe.

Chwilami żaden nie dochodził. Znow się wzmagały. Nie można było nic rozróżnić. Zdało się, że to śpiew, — to jakieś świstawki...

I znow cisza.

Aż doleciał wreszcie dźwięk wyraźniejszy...

Doleciał i przykrem echem odbił się w ich sercach.

Nie była to pieśń, którą pragnęli usłyszeć.

— Więc się sprawdza — rzekł wojski.

— Sprawdza się, a ja muszę inną drogą umykać, — mówił starosta. — I robić swoje, — tem bardziej robić, — dodał z naciskiem, siadając na sanie.

Ranni i kobiety ukryli się w głębinach domu. Wojski przyzwał do siebie podstarościch i pomocników w gospodarstwie.

Wolał ich mieć pod ręką na wszelki wypadek.

Głównego jednak, prowadzącego całe gospodarstwo, nie było. Dokonał swego. Co lepsze bydło i konie uprowadzić kazał na drugi folwark, leżący z innej strony.

I oto kiedy wracał do dworu, spostrzegł skręcający z gościńca mały oddziałek jezdnych.

Gęsta mgła przysłaniała przestworze; nie mógł dojrzeć, ilu ich było, lecz po śpiewie i piszczałkach domyślił się, kto oni. Wrócił z tem do dworu.

Wojski machnął ręką.

Po chwili jednak wydał rozporządzenie.

— Zabić kilka baranów, gotować groch i krupy, przygotować owsa i siana.

— Obcy czy swoi trzeba ich pożywić. — Z mego domu i nieprzyjaciel głodny odejść nie powinien, — dodał dla objaśnienia zdziwionej służby.

I siadł przy kominku, oczekując tych gości.

Pani wojska tymczasem z Basią i całym swym dworem, ukląkłszy przed ukrzyżowanym, — odmawiała:

„Przed oczy Twoje Panie, winy nasze składamy...“

W połowie modlitwy wsunął się pacholek i przyciszonym głosem meldował:

— Już weszli w podwórze, — a ten co ich prowadzi, poczyną sobie, jakby tu się urodził.. Konie i ludzi umieszcza po stajniach, a sam poszedł do dwora, jest już u jegomości.

Pani Eliza porwała się z klęczek.

Serce jej zakolało.

Spojrzała na Basię, tem wejrzeniem się porozumiały.

Nie zdążyła jeszcze słów zamienić, gdy drzwi się otworzyły i przed panią wojską padł młody oficer.

— Syn mój ukochany, — krzyknęła, obejmując głowę klęczącego.

Jednocześnie z drugiej strony wszedł pan wojski. Czoło miał zmarszczone, wargi zbiełałe.

— Syn nasz, syn ukochany, — powtarzała pani Eliza, patrząc na męża.

— Ja nie mam syna! — odrzekł tenże chrapliwym głosem.

Pani Eliza nie mogła zrozumieć.

Spoglądała z niemem zdziwieniem to na męża, to na syna.

Spoglądała i na Basię.

Ta wkrótce się opamiętała i zakrywszy oczy, usunęła się w głąb komnaty.

Modest stał ze spuszczonei oczami.

— Po stronie Napoleona wszystko stracone, — gdy więc wzięto mnie do niewoli, uważałem za stosowne wejść do pułków zwycięskich... — począł Modest.

Powtarzał to, co już ojcu powiedział.

Powtarzał zaś dlatego, żeby uzyskać wstawiennictwo matki.

Ta spojrzała nań z boleścią.

Serce jej zadrżało.

Nie mogła jednak potępić jedynaka; szukała słów, któreby go mogły uczynić najmniej winnym.

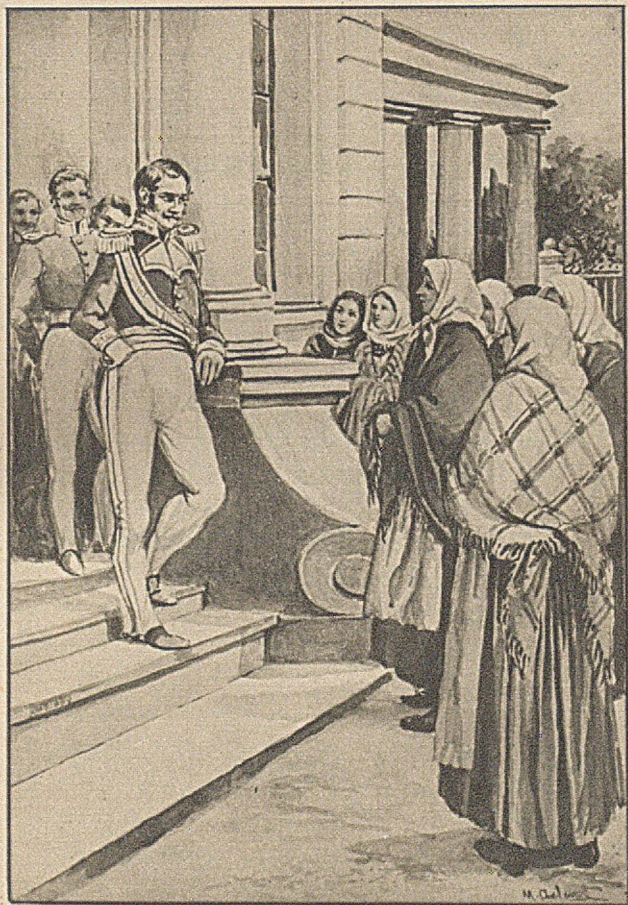
— Przecież nie ja jeden... — inaczej nie byłbym mógł wrócić... — jękał. — Przekonania się zmieniły, — polityka inny przybierze obrót... — mówił dalej, poglądając na ojca.

— Polityka... — począł tenże.

Nagle zatrząsł się i padł jak długi.

Wszyscy rzucili się ku niemu.

---



..My także do wojska — rzekła dość śmiało Jagusia..

Na posterunku.

FOTODUKUMURA DRUKIERSKIE DZIAŁO  
FRA. WIAKÓLSKA W POZNANIU

## VII.

Starosta Bielski doskonale był powiadomiony.

Jenerał Henryk Dąbrowski zdołał rzeczywiście zebrać 5000 żołnierza.

Otrzymał też wkrótce rozkaz, żeby niezwłocznie udał się z nimi do Kassel i oczekiwał dalszych rozkazów Napoleona.

Bielski kręcił się po południowej części ziemi płockiej, namawiał, sypał obietnicami, trudno mu było jednak zebrać choćby kilkudziesięciu ludzi.

A Rosjanie coraz więcej się zbliżali.

Mały oddziałek, z którym przybył syn państwa wojskich, był jednym z tych, który pilnował torowania drogi dla cesarza Aleksandra I-go.

Cały prawy brzeg Wisły był już przez wojska rosyjskie zajęty.

Wobec tego w Warszawie zbierały się narady pod przewodnictwem Bignona, nowego pełnomocnika Napoleona. Na jednej z nich książę Józef oznajmił:

— Nie mogąc stawić czoła przybywającym wojskom, opuszczam Warszawę z niewielkim poczem wiernych mi żołnierzy ochotników.



Nikt nie mógł odradzać.

Pewnego dnia przed wejściem oznajmiono mu:

— Kilkudziesięciu wyrostków zjawiło się przed pałacem, — chcą się zaciągnąć w szeregi jego książęcej mości.

Książę Józef westchnął:

— Nowe ofiary.

Wyszedł jednakże.

Oczom jego przedstawił się dziwny widok. Czterdziestu chłopców wprost dzieciaków, — licho ubranych z Pawełkiem Garncarkiem na czele przyłożyło po wojskowemu dwa palce do czapki na powitanie.

Kilkanaście dziewcząt z Jagusią zieleniarką tworzyło drugi szereg.

Ks. Józef uczynił przegląd tych młodocianych ochotników.

— Ależ wy nawet broni udźwignąć nie zdolacie! — zawołał.

— Oho, i jak, — była jednogłośnie odpowiedź.

Książę smutnie się uśmiechnął.

— Kilku może będzie mogło pójść, inni muszą zaczekać, aż dorosną.

Twarze przed chwilą pełne zapału posmutniały, oczy świecące chęcią walki zaszły łzami.

Z tych czterdziestu uznał za ledwie kilku jako tako zdolnych do ciężkich trudów wojennych. Na czele ich był Pawełek.

— Wy idźcie do domu, aż was zawezwą,  
— rzekł do pozostałych.

Ciche łkanie ozwało się z piersi odrzuconych; niejednen zacinał zęby, mówiąc:

— Czemużem taki mały.

— Czekać a nuż wojny nie będzie... — mówiono.

— Wojna zawsze będzie, ale czy nas zawezwą?... — ozwał się jakiś malec z westchnieniem.

Dziewczyny patrzyły, trącając się łokciami i zachęcając jedna drugą, żeby przemówiła.

— A wy czego?... — spytał ksiązę, patrząc z politowaniem.

— My, proszę łaski księcia pana, także do wojska... — rzekła dość śmiało Jagusia.

— Co — do wojska?... — zawołał ksiązę Józef, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Jeżeli chłopcy mogą być żołnierzami, czemużby z dziewcząt nie utworzyć pułku, — mówiła dalej, ośmielając się dziewczyna.

Teraz nie tylko ksiązę Józef, ale i jego przybocznicy się rozśmiali.

Był to śmiech wprost bolesny.

Lecz w tym śmiechu inna jeszcze dźwięczała nuta:

— Jeżeli nawet w dzieciach i dziewczętach tyle poświęcenia i zapału, naród upaść nie może.

— Wracajcie do domu! z dziewcząt nikt pułków nie formuje, — rzekł wreszcie ksiązę.

Ale Jagusia przyzwyczajona do obracania językiem przy straganie, nie dała za wygraną.

— Słyszałam, że jest kraj, gdzie dziewczyny odpędzają nieprzyjaciół, — rzekła rezolutnie.

Teraz jeszcze boleśniejszy uśmiech przemknął po ustach otaczających i samego księcia.

I z tym uśmiechem zawołał:

— Dobrze, moje dziewczęta, — rozpatrzmy tę sprawę, potem uformujemy pułk amazonek. Tymczasem, wracajcie do domu, — zajmijcie się waszą pracą... Nie zapomnę o was, — dodał. I odszedł.

A odchodząc, myślał.

— Że nie zapomnę to pewna.

A potem dodał w sobie:

— Tak, tak, — dziewczęta, kobiety wogóle mogą być najdzielniejszym pułkiem do odniesienia zwycięstwa.

Ktoś z przybocznych wytłumaczył zasmuconym ochotnikom, że w tej chwili muszą się pogodzić ze swoim losem.

— Nic wam nie pozostaje, tylko wracać do domu, — nalegano.

Nie było rady. Z wielkim smutkiem opuściły podwórzec pałacyku pod Blachą.

Popłakiwały zcicha. Pocieszały się jednak.

— Książę pan powiedział, że... że... uformuje z nas pułk... jakże tam? — poczęła któraś.

— Co jakże tam? — spytała inna.

— A no, jak się nazywa taki pułk, jak to książę powiedział?

— Aha... zaraz... zaraz... — odrzekła, przypominając sobie Jagusia.

Przypominanie zajęło im chwilę...

Szły w ciszy.

— Aha, już wiem. — Pułk zamazany, — zawołała Jagusia.

— Nie zamazany, jeno zamazanek, — poprawiła inna.

— Zamazany czy zamazanek, dość, że uformuje z nas pułk, — pocieszały się wracając, każda w swoją stronę.

Jednocześnie książę przez umyślnego otrzymał własnoręczny list cesarza Aleksandra I-go.

Wyrażał w nim uznanie dla jego walecznych czynów, w końcu mówił:

„Gdyby waleczność jego zwróciła się w moje szeregi, umiałbym ją ocenić, a Polska zawdzięczałaby księciu Józefowi Poniatowskiemu przyspieszenie lepszej swojej doli“.

Książę Józef, nie namyślając się ani chwili, odpowiedział:

— Pochlebne słowa Jego cesarskiej mości czynią mi zaszczyt i zawsze w pamięci pozostaną. — Nie czując się wszakże godnym Jego łaski, — opuszczam Warszawę<sup>1)</sup>.

Rzeczywiście, 6. lutego 1813 r. opuścił Warszawę wraz z resztką swojego wojska i garstką ochotników.

<sup>1)</sup> Z ówczesnych pamiętników.

Zdązał do Krakowa, wybierając drogi niezajęte jeszcze przez wkraczające wojska rosyjskie.

— Nie jesteśmy dość silni, żeby przyjmować potyczkę, — mówił książę.

W duszy zaś dodawał:

— Czuję się wprost odpowiedzialnym za tę garstkę wiernych i za tę młodzież idącą tak chętnie...

Z księciem szli generałowie i pułkownicy, którzy z nim przebyli smutną kampanję w Rosji.

Był więc: Biernacki, Umiński, Górski, Kicki i w. i.

Do Częstochowy szli nie spotykając nieprzyjaciela.

Nagle Biernacki ze swoją czterdziestką został odcięty.

Odcięty przez jakiś fałszywy alarm.

W małym tym oddziałku był Paweł Garncarek. Pochodził on z okolic Częstochowy.

Postawiono go na pikiecie podczas odpoczynku. A tak się jakoś zdarzyło, że to było na wzgórzu, skąd było widać wioskę, z której pochodził.

Rozejrzał się...

Serce mu zadygotało.

Widzi dym wznoszący się z kominów.

— Ten, co idzie najprościej, — to z ojców chaty, — pomyślał. — Choćby na chwilkę...

szepnęło mu w duszy. — Cicho! natożesz poszedł do wojska, — żebyś do chałupy leciał?... odszepnął mu głos inny.

Westchnął.

Znów się rozejrzał.

Od Czarciego bagna coś zamajaczyło.

Wpatrzył się jeszcze więcej.

W południowym lutowym słońcu zaświeciły bagnety...

— Oo... — zdziwił się chłopak. — To chyba nie nasi... Trzeba do — oddziału...

I nie namyślając się sadził przez pola do wioski, gdzie się oddział zatrzymał.

Żołnierze siedzieli właśnie w największej izbie karczmy przy dymiącym krupniku.

Konie pookrywane derami chrupały owies. Dowódca w alkierzu jadł swój skromny posiłek, przeglądając jednocześnie mapę okolicy.

Pawełek przebiegł szybko przez izbę, stanął we drzwiach alkierza, a przyłożywszy dwa palce do czapki, rzekł drżącym głosem:

— Melduję pokornie, że od zachodu bagnety w słońcu świecą.

Biernacki zerwał się.

— Trzeba sprawdzić, — rzekł, biorąc lunetę. — Skądby najlepiej... szepnął.

— Drabina na dachu, — odrzekł Paweł, otwierając drzwi od alkierza do sieni.

Sam zaś nie czekając rozkazu, — wdrapywał się na starą gruszę stojącą przy chacie.

Starsi żołnierze, domyślając się, że coś się święci, spojrzeli na siebie i pokładli łyżki.

Wkrótce wszyscy byli pod bronią.

Ochotnikom serce zadrżało.

Po chwili dowódca zawołał:

— Na koń!

I schodził pospiesznie z dachu.

Rzeczywiście był to jakiś niewielki oddziałek rosyjski, wysłany ku południowi dla spenetrowania okolicy; jechał w przeciwną stronę i natknął się z nieszczęśliwie odciętym oddziałem Biernackiego.

Ten ujrawszy nieprzyjaciela, zafrasował się.

— Trzeba nam jakiego przewodnika... ozwał się, rozglądając się do koła.

— Ja będę przewodnikiem! — odrzekł, zsuwając się z gruszy Paweł.

Biernacki spojrzał na niego.

— Znasz tę okolicę? spytał.

— Toćem z tej wioski, co oto dym widać.

Pułkownik wejrzał na niego z niedowierzaniem. W braku jednak innego przewodnika, rozkazał:

— Prowadź tak, żeby ominąć zbliżający się oddział.

— Bitwy przyjąć nie możemy, — za mało nas, — szepnął do siebie.

Paweł kopnął się przez zarośla wprost do Kalenicy.

Chwilę zaślaniały jadących krzaki — i gęsto nawiane zaspy.

Wreszcie wydostali się na drogę wiodącą do wsi.

Już, już mieli wjechać, gdy z boku zagroził im drogę oddział nieprzyjaciół.

— Sformować długą linię, — otoczyć ich, — zakomenderował pułkownik.

Wykonano rozkaz.

Posypał się z obu stron ogień.

Oddział nieprzyjacielski był niewielki, dość liczny jednak, żeby zadawać rany.

Mały nasz oddziałek nie był dłużny.

Biernacki kilkakrotnie ranny dowodził jednak.

Krew go uchodziła, — chwiać się począł na koniu.

— Cofać się na prawo! — zawołał i byłby upadł.

Podtrzymał go Pawelek, a uchwyciwszy konia za uzdę, rozpaczliwym głosem zawołał:

— Za mną, kto może.

Kto też mógł usłuchał tego młodego głosu.

Przez zasypany śniegu znaleźli się w głębokim jarze.

Zniknęli z oczu nieprzyjaciół. Zniknęli z szybkością wprost nie do uwierzenia.

Aura dopomogła do tego.

Śnieg począł sypać z taką gwałtownością, że tylko znający doskonale okolice mogli coś rozeznąć.

Dowódca rosyjski zakomenderował:

— W pogoń.

Lecz wśród zasypującego oczy śniegu skierował się w przeciwną stronę.



Na placu zostali tylko ci, co ruszyć się nie mogli.

Ofiary walki, kąpiące się w własnej krwi.

Ofiary tak z jednej, jak z drugiej strony.

Paweł tymczasem podtrzymując wraz z innymi rannego dowódcę, dopadł do ojców chaty.

Nie do chaty nawet, lecz do pieca garncarskiego, z którego akurat wyjęto świeżo wypalene garnki.

Wsunął tam najpierw rannego dowódcę, za nim wsuwali się żołnierze.

Poczem Paweł pobiegł do chaty.

— Wody, płótna, — zawołał, nie witając się z nikim.

Garncarzowa o mało nie zemdląła, ujrzawszy syna krwią ociekłego.

Garncarz wypuścił z rąk garnek, który polerował.

— Prędko, — prędko, — w piecu jest ranny, — są i żołnierze, — wołał Paweł. — Jam nie ranny, — później wszystko opowiem, — dodał.

Oprzytomnieli.

Matka nie poskąpiła płótna, — nie poskąpiła i trudów. Oboje ze starym podążyli do pieca.

Para po świeżo wyjętych garnkach, oddech ludzi nie pozwoliły im na razie nic widzieć. Dotarli jednak do rannego. Śniegiem obmyli i opatrzyli. Dwanaście ran było.

Duszno było nad wyraz w atmosferze garncarskiego pieca. Byliby się może wszyscy udusili. Ale ojciec Pawła poodtykał dziury wywiercone w głąb nasypu koło pieca.

Paweł wśród tych starań zdołał w krótkich słowach wyjaśnić wszystko.

— Może nadejść pogoń, — dodał z miną doświadczonego wojaka.

Ojciec kiwnął głową, mruknął coś pod nosem i nałożył dREW w środkowe palenisko.

— Niech dymi, — rzekł podkładając ogień. — Będą myśleli, że garnki się wypalają.

Zawalił śniegiem wejście i wyszedł wraz z żoną i synem.

Gdy w późną noc pogoń nadeszła, w chacie garncarza wszyscy spali.

Spali lub udawali.

Rozbudzeni, okazywali wielkie zdziwienie.

Pytani o oddział polski, odpowiedzieli:

— Przelecieli jak wicher i skryli się, ot tam, rzekł garncarz, wskazując stronę, z której właśnie Rosjanie przybyli.

— Każę was wszystkich wysiec, wymordować, — krzyknął dowódca.

— Wasza miłość zrobi z nami, co mu się podoba, — ale skądże mogę wiedzieć co się z nimi stało, — mówił garncarz dość śmiało.

— W którą poszli stronę, — pytał dalej dowódca rosyjski.

— Ot, tam! — rzekł garncarz wskazując po raz wtóry też samą stronę, co pierwej.

— Prowadź, ty psie, — wrzasnął dowódca.  
Garncarz szedł wskazując drogę w stronę,  
z której syn przyprowadził im gości.  
Oddział rosyjski pocwałował.  
Wichura się wzmogła.  
Wprost szalała.

---

## VIII.

Jednocześnie z wyruszeniem ks. Józefa z Warszawy wyruszyła i Rada ministrów, oraz wszelkie władze księstwa Warszawskiego.

Opuścił też Warszawę Fryderyk August, chroniąc się do Ratyzbony.

— Nie uważam, — żeby obecność moja na cośkolwiek mogła się tutaj przydać — rzekł do przedstawicieli polskich.

Miał słusność.

Dobry ten z natury i łagodny książę nie miał właściwie żadnej władzy. Był tylko cieniem panującego. Wykonywał i podpisywał to tylko, co mu przez Radę było podane lub przedstawione przez pełnomocnika Napoleona. Opuszczał stolicę bez żalu.

Nikt go też z żalem nie żegnał.

Tylko Marja-Augusta-Nepomucena, córka Fryderyka Augusta z bólem w sercu opuszczała Warszawę. Przeznaczona do objęcia tronu polskiego, zżyła się powoli z tą myślą.

Przyzwyczajono ją do tego, nazywano nawet infantką, — teraz wszystkie te piękne marzenia znikają.

Znikają też i inne, czysto osobistej natury.

Marja Nepomucena zakochaną była w ks. Józefie Poniatowskim.

Czy uczucia podzielał, czy w czemkolwiek je podsycił, przyzwyczajony do hołdów niewieścich ksiązę, nikt wiedzieć nie może.

Infantka wszakże nosiła jego miniaturę ukrytą w fałdach stanika.

Zdejmując ją przypatrywała się z lubością i myślała:

— Jeżeliż jestem przyszłą dziedziczką tronu, nie kto inny obok mnie, tylko on zasiądzie... Jemu się ze wszechmiar to należy... któżby był godniejszym... Wspanialszym i... piękniejszym, — dodawała wpatrując się w piękną, choć już niemłodą twarz księcia.

Teraz wszystko pierzchnęło.

Nie rozstała się jednak z miniaturą.

— Niech to zostanie pamiątką pięknych moich marzeń... — mówiła.

I łudziła się. Łudziła, — jak każda zwykła śmiertelniczka.

Dwór Fryderyka Augusta nie rozbrzmiewał zabawą, — nie dostarczał żadnego wznioślejszego zajęcia.

Miała więc czas na oddawanie się marzeniom.

Wyjeżdżała więc Marja Nepomucena, doletnia już, bo trzydziestoletnia panna z wielce ściśniętem sercem.

Za księciem, ministrami i przedstawicielami władz księstwa Warszawskiego wyruszyły i najznakomitsze rodziny. Nie tylko naj-

znakomitsze, lecz i te które za znakomite uchodzić chciały.

Zastawiano resztę kosztowności, sreber stołowych, oddawano w zastaw lub wieloletnią dzierżawę wioski i wyjeżdżano zagranicę. Możliwość powiedzieć, że nie żadne polityczne względy, lecz wprost moda kazała im tak czynić... Mała tylko garstka wiedziała, dlaczego tak czyni, a nie inaczej.

Lecz wśród ogólnego zamętu, wśród nieporozumień, powstających w sferach rządzących, trzeba było znaleźć kogoś na kogo można było złożyć, choćby część niepowodzeń i ciósów, jakie na kraj spadały.

Tym kozłem ofiarnym stał się książę Józef Poniatowski. Zapał, z jakim powitano wracającego z pod Moskwy, spłonął jak świeca podczas przyjęć i uroczystości Bożego Narodzenia r. 1812. Z nowym rokiem 1813 światła te zgasły.

Książę Józef bywał na wszelkich obradach, zbierających się najczęściej u ambasadora Bignona, — podawał rozmaite projekty chwilowego choćby ratunku, lecz projekty te po największej części nie były przyjmowane<sup>1)</sup>.

Główną przyczyną ku temu było, iż wiele umysłów skłaniało się w stronę Rosji.

— Cesarz Aleksander ma nawet interes zupełnie naturalny, żebyśmy jego stronę trzymali, — dodawali inni.

---

<sup>1)</sup> Askenazy.

— Honor narodu i honor powierzonego mi wojska nie pozwalają mi przechodzić na inną stronę... — mówił książę Józef. — Walczyć będę i stać na posterunku do ostatniej chwili. Ci pójdą ze mną, — dodawał wskazując na nowe kadry.

Kadry te utworzone były po największej części z młodzieży rzemieślniczej, drobnej szlachty i wogóle tych, którzy do polityki się nie mieszały, bo do niej nie mieli przystępu.

O ile bowiem w wyższych sferach zjawiała się pewna niechęć, czy nieufność do księcia — bohatera, o tyle w niższych rosła ku niemu ufność i zachwyty.

Zresztą i ta niechęć w sferach rządzących była tylko chwilowym wynikiem strasznego rozstroju i bólu nad ogólnym upadkiem kraju.

W głębi wielbiono w nim wodza.

Wodz — bohatera.

Po tych więc wszystkich naradach, słabych nadziejach w lepszą jakąś gwiazdę ciągnęli wszyscy do Drezna, a najwięcej do Krakowa, jako wolnego miasta.

— Będziemy bliżej Austrii...

Dwór Austryjski jako spokrewniony przez córkę z Napoleonem da nam opiekę, — mówiono.

I na tej słabej nitce opierając swoje nadzieje, ciągnęli na Śląsk lub do — Krakowa, wywożąc wszystkie akty i papiery księstwa Warszawskiego.



„Niech będzie pochwalony!“ ozwał się jadący na przedzie.

Na posterunku.



Książę Józef, jakeśmy to już widzieli — unikał wszelkiego starcia ze zwycięskimi wojskami, wkraczającymi do Polski.

Południowa część kraju o tyle była wolna, że wojska te wkraczały od północy, podążał więc do Krakowa.

Prócz odciętego oddziału pułkownika Biernackiego, który musiał przyjąć potyczkę, nie spotykano nieprzyjaciół.

Drogi były zawiane, wprost nie do przebycia.

Spotykano mimo to całe zastępy podróżnych, z licznym poczem ciągnących do Krakowa.

Była to również mitręga.

Na ostatnim postoju w Proszowicach, gdy już wyjeżdżał na czele swoich szyków, nadciągnął liczny bardzo poczet podróżnych.

Nie zważając na wychodzące wojsko, wdzierał się w ich szeregi, a z głównej karety wychodziły rozkazujące piskliwe głosy.

Była to pani Adamowa Potocka z czternastoletnią córką Karolcią i p. Sewerynowa Potocka.

Ostatnia objęła arbitralnie rządy w podróży i teraz wołała:

— Wjeżdżać! damom wszędzie i zawsze pierwszeństwo!

Gdy zaś książę Józef przejechał, nie oddając jej hołdu, o mało nie dostała palpacji

serca. Nie pozwoliła też wypocząć należycie koniom i ludziom, tylko wołała:

— Zaprzęgać, podążać za wojskiem!

A wojsko tymczasem ze swoim naczelnym wodzem podążało po zawianej drodze do Krakowa.

---

## IX.

Po dobrej godzinie marszu ujrzano, ciągnący naprzeciw jakiś mały oddziałek.

Zawiadomiony o tem książę Józef, wziął polową lunetę i przypatrywał się nadciągającym.

— Nie mogą przecież być Rosjanie... od tej strony... skądżeby!... — pomyślał.

Obejrzał się wszakże na swoje dość liczne szeregi, ciągnące w niezbyt należytych porządku, bo wązkość bocznego gościńca i suto nagromadzone śniegi nie pozwalały utrzymać właściwego szyku.

Po bliższem rozpatrzeniu się przez lunetę, dojrzał mały oddziałek konnych.

— Krakusi! — szepnął z pewnem zadowoleniem.

Rzeczywiście, po niejakiem czasie Krakusi zbliżyli się ku niemu.

Byli to po największej części ludzie młodzi, niezawsze po wojskowemu ubrani, nietego w palną broń zaopatrzeni.

Książę Józef skierował konia w ich stronę:

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się jadący na przedzie, człek lat średnich.

— Na wieki! — odparł ksiązę Józef.

Za nim powtórzyli wszyscy to pozdrowienie z jakąś otuchą w sercu.

Wyrzucone z tyłu piersi „na wieki“ rozbrzmiało w przestworzu jak głos spadający ze sfer górnych.

Na głos ten poweselały twarze.

Otucha we wszystkich rozbudziła się sercach.

— Wyszliśmy naprzeciw, dowiedziawszy się, że jego wysokość ciągnie do Krakowa, — ozwał się prowadzący oddział.

— Bóg wam zapłać! — odrzekł z niekłamana serdecznością ksiązę.

— Ale któż was powiadomił — kto oddział zwołał? — pytał dalej z zaciekawieniem.

— Hej, wieści to tak przychodzą jako wichry, — mówił przybyły, — a wołać to nas nie trza było, — sami rozumiemy.

I dalej ciągnął:

— Rzekłem jeno, chłopcy, pamiętacie, com wam gadał o naczelniku i o wojnie? — a oni zaraz:

— Pamiętamy.

— No to, rzekłem, zabierajcie jaką kto ma broń i dalej.

— I jesteśmy! — dodał, kłaniając się po wojskowemu.

— Bardzośmy wam radzi, — bardzo radzi! — odrzekł ksiązę Józef.

— Ale jakże się nazywacie? — zapytał.

— Wojciech Burda, żołnierz Kościuszkowski, do usług jego wysokości, — odrzekł Krakus.

I dalej mówił:

— Niech nas wasza wysokość prowadzi jak nasz naczelnik, a nie powstydy się za Krakusów.

— Prawda chłopcy? — dodał, zwracając się do swego oddziałku.

— Prawda! — zawołali wszyscy jak na komendę.

Poniatowski objaw ten uważał za doskonałą przepowiednię.

Kazał też Wojciechowi jechać tuż przy sobie i w gawędzie starał się dostroić do jego mowy.

A chłop przypatrując się bacznie, rzekł:

— Jego wysokość jest inszy, niż nasz naczelnik, — ale wiemy, co dzielnie umie sprawować bitwy, to mu ufamy.

— Dziękuję wam za to zaufanie! — postaram się, żebyście się nie zawiedli, ale powiedzcież mi, wszakże słyszałem, że tworzą się oddziały tak zwane dymowe, — to wy chyba do nich należycie?

— Juści, że się utworzyły, — starali się o to panowie i uradzono, że z każdej chaty czyli „dymu“ pójdzie jeden, — odrzekł Burda.

— Szedł każdy! nawet nie jeden! — Mało było takich, co się ociągali, — utworzyły się też nieszpetyne oddziały, — dowodzi nimi major Plichta, — co pierwszy przywiózł wiadomość,

że jego wysokość ciągnie do Krakowa, — mówił dalej. — Ale nasz oddział, to sami ochotnicy! — dodał z pewną dumą.

Po trudnej zawianej drodze ciągnęły szeregi.

Oddziałek Burdy torował im drogę.

— Za lasem, do którego wjedziemy, to byleby zachód był piękny, wieża N. M. Panny nam się ukaże, — rzekł Wojciech.

A wypogodziło się właśnie.

Mróz się wzmógł nieco, niebo było pogodne, a powietrze czyste, łatwiej niem było oddychać.

Ale jeszcze pierwsze strażę nie zdążyły wjechać do lasu, gdy z tylnych szeregów nadbiegł oficer, meldując:

— O jakie półgodziny za nami ciągnie tabór.

— Niech sprawdzą lunetą, ! rozkazał Poniatowski.

Porucznik Michał Zagóra przyboczny księcia poniósł rozkaz.

W pół godziny wrócił i zbliżywszy się do naczelnego wodza, rzekł:

— Na ten raz nieprzyjaciel nie jest groźny.

— Cóż to? — spytał ks. Józef, marszcząc brwi niechętnie.

— Ten sam tabor niewieści, który nam wszedł w drogę przy wyjeździe z Proszowic.

— Diable! — zaklął ks. Józef po francusku. — Ale cóż to nas może obchodzić, niech się włoką, — dodał.

Lecz dnia tego sądzono już było, żeby zebrane z trudem kadry miały wciąż jakąś emocję.

Zaledwie bowiem pierwsze szeregi poczęły w las wjeżdżać, gdy na tylnych strażach powstał rumor. Gwary zmieszanych głosów przedzierały przestworze. Nad nimi górowały głosy kobiece.

— Wstrzymać się! — rozkazał ks. Józef.

— Jeżeli wasza wysokość pozwoli, kopnę ze swoimi... — ozwał się Wojciech.

— Dobrze!

I znów spojrział na długi szereg swego wojska.

Dał znak, żeby różnemi drogami wjeżdżano do lasu.

Poszczególni dowódcy spełnili rozkaz.

Przez jakiś czas słyhać było jeszcze zmieszane głosy.

Książę Józef nasłuchiwał.

Po niejakijs chwili wszystko ucichło.

Wojciech Burda wracał ze swoim oddziałkiem.

— To jakiś poczet podróżnych, — pań kilka — zlekły się oddziałku dymowych, którzy przyciągnęli z drugiej strony i jak mieli nakazane, spytali skąd i dokąd jada, — meldował Wojciech.

— Jedna z tych pań zamiast powiedzieć swoją godność, wrzeszczała i wymyślała jak nie przymierzając dragon, — inne płakały; dymowi nie chcieli ich puścić, zatrzymali konie. — Dopiero jakaś młodziutka pannusia rzekła:

— Jedzie pani Sewerynowa i Adamowa Potockie, — uchodzimy z Warszawy, dążymy do Krakowa.<sup>1)</sup>

— Dymowi jakoś zwolnili, — mówił dalej Wojciech. — Jakiś oficer z tylnej straży zapewnił, że ten sam tabor był na ostatnim postoju jego wysokości, i że te panie pod osłoną szeregów jego wysokości chcą podróżować.

— Zapewne, — nie mamy nic pilniejszego do roboty! — pomyślał niechętnie ks. Józef.

A Burda jakby przeczuł jego myśl, mruknął:

— Gdzie djabeł nie może, tam babę wniesie!

Zegar na kościele P. Marii wydzwaniał północ, gdy szeregi księcia Józefa wkraczały na przedmieście Krakowa.

Razem z uderzeniem północy ozwał się z wieżycy hejnał.

Grał pobudkę wojskową.

Przybywającym serce zakolało radością. Lecz nim dotarli do bramy Florjańskiej, mieli nową zaporę.

Poczet pań Potockich zatarasował wejście, musieli czekać.

Od niejakiego czasu widziano już, że poczet ten wyprzedza szeregi.

— Niech sobie jada! — mówili żołnierze.

— Dobrze się od nas odczepią! — powtórzyli dowódcy.

---

<sup>1)</sup> Z pamiętników Karoliny z Potockich Henrykowej Nakwaskiej.



A księżę Józef zobaczywszy ten manewr, szepnął:

— Nareszcie! nie będą nam zawadzały.

Wprawdzie, gdy pani Sewerynowa Potocka, która raz objąwszy dowództwo, nie wypuszczała go ze swej malutkiej dłoni, rozkazała wyprzedzać szeregi, pani Adamowa ją reflektowała.

Karolcia nawet ośmieliła się zrobić uwagę:

— Wojsku należy się pierwszeństwo...

— Damom zawsze i wszędzie należy się pierwszeństwo! — zgromiła ją pani Sewerynowa.

I z całym wzburzeniem dodała:

— Jeszcze dotąd nigdy tego nie było, żeby nedorostki odzywały się ze swoim zdaniem.

Z tego wszystkiego wynikła bardzo ożywiona sprzeczka. Pani Adamowa ujęła się za córką, towarzyszące im damy trzymały stronę to jednej to drugiej. Powstał pisk, gwar coraz głośniejszej sprzeczki prowadzonej po francusku. Nie słyszały też ani wydzwanającego zegara, ani hejnału.

Jedna tylko Karolcia zasunawszy się w kącie siedzenia na przodzie obszernej karety na saniach, wsłuchiwała się w przepiękne te dźwięki.

Młoda jej duszyczka wchłaniała je w siebie, piersi podnosiły się westchnieniem, a usta szeptały:

— Boże daj naszym wojskom powodzenie,  
a krajowi lepszą dolę.

Przejechały nareszcie.

Szeregi księcia Józefa mogły wkraczać  
w bramę. Na ulicach mimo spóźnionej godziny  
były tłumy. Każdy chciał ujrzeć te ocalone  
szeregi, dowiedzieć się, co będzie dalej, gdzie  
ciągną.

Tymczasem oddział Wojciecha Burdy,  
który pospieszył naprzód, krzątał się o umiesz-  
czenie wodza, jego otoczenia, poszczególnych  
dowódców i znakomitszych oficerów.

Praca to była nielada. Wszędzie było  
pełno. Przybywające władze z Warszawy za-  
jęły znaczniejsze pałace. Rodziny, które za  
władzami pospieszyły, a które mimo złej drogi,  
mogły jednak wcześniej stanąć, niż wojsko, —  
tulili się w domach i domkach, nie tylko w mie-  
ście, lecz i na przedmieściach.

Pałac tylko Zebrzydowskich na Krzyszto-  
forach był przygotowany dla księcia Józefa  
i jego otoczenia.

Tam też Wojciech podążył z oznajmieniem.

Ale jakież było jego zdziwienie, gdy za-  
le dwie zapalono światło i rozniecono ogień na  
kominku, do komnaty, przeznaczonej dla wo-  
dza, poczęto wnosić kufry i sepety, nie mające  
nic wspólnego z bagażami wojskowych.

Przygodnie naznaczony marszałek ku  
urządzeniu tymczasowej siedziby dla naczel-  
nego wodza chciał protestować, ale ktoś mu  
szepnął:

— Książę Józef lubi otaczać się wygodą, a bodaj nawet niewieścim zbytkiem, nic dziwnego, że wziął z sobą tyle bagaży.

Wkrótce jednak za bagażami poczęły się zjawiać kobiety.

Wtedy już marszałek i służba, spojrzawszy na nie poczęli:

— Ale to mieszkanie dla naczelnego wodza.

— Nie, — odrzekła jedna ze śmielszych, — to mieszkanie dla pań Potockich.

— Przecież stojący na tej samej połaci pałac Potockich gotów jest na przyjęcie wszystkich członków tej rodziny, — mówił marszałek.

— Pour les comtesses Potocki! — wrzeszczała przodująca służbie Francuzka.

I dawała rozkazy, co do rozpakowania i umieszczenia bagaży.

— Ah, quel pays, quel pays!

(Co za kraj, co za kraj).

— Ależ to musi być omyłka, — biadał marszałek, który niewiele jej mowę rozumiał.

Biadała i służba.

Upłynęło niemało czasu, nim doszło do porozumienia. Na ten raz działo się to bez rozkazu pani Sewerynowej Potockiej. Była to rzeczywiście omyłka.

Teraz Francuzka musiała wydać rozkazy do zapakowania wyjętych już rzeczy. Wśród klątw, śmiechu i złości wnoszono kufry.

## X.

Kraków od roku 1809 był miastem wolnem, przynależnem do Ks. Warszawskiego.

Był też miastem cichem, nie wyrzucającem grosza na zabawy i pustoty.

Teraz z przybyciem tylu dygnitarzy z Warszawy oraz wielu rodzin z całego kraju, ożywił się znacznie.

Cała plejada dam, tworzących towarzystwo w stolicy, tworzyła je teraz w Krakowie.

Karnawał już przebrzmiał, urządzano więc zabawy.

Wprowadzie nie taneczne, ale rozbrzmiewające wszakże wielką wesołością.

Oświetlone pochodniami i różnokolorowemi ogniami sadzawki i stawy pod miastem oraz część Wisły, z powodu ostrej zimy zamarzę prawie do końca marca, — gromadziły wyborową publiczność.

Ślizgawki często w strojach maskaradowych, intrygi, przejażdżki sankami w okolice tak długo zasłane śniegiem były na porządku dziennym.

Bawiono się.

Ks. Józef opierał się z początku pokusie uroczych dam, dał się wreszcie pociągnąć.

W chwilach tych przypominał sobie zabawy w Jabłonie, gdy zaś był sam z sobą, wymawiał sobie:

— Jak można tyle czasu trwonić!

Zamykał się na jakie kilka dni, potem szedł znów pić z kielicha rozkoszy.

Przepędzał też dużo czasu na naradach z ministrami.

Lecz narady te w duszy jego pozostawiały gorycz.

Wtedy czoło jego znaczyło się wielką bruzdą. Znać było, że myśl pracowała uparcie.

Większość bowiem ministrów wciąż żądała, aby odstąpił Napoleona.

Stanisław Potocki poufnie nawet mówił:

— Książę masz teraz dość liczne szeregi, jako — minister wojny, mógłbyś stawić czoło, wciągającym wojskom do Księstwa Warszawskiego.

— Tak, co do liczby jest ich sporo, — szeregi nawet możnaby pomnożyć... — odpowiedział zagadnięty.

— Więc? — nalegał Potocki.

— Jest to wszakże żołnierz młody, — nie umiejący nic, nie nawykły do trudów, w pierwszej bitwie legnie lub rozproszy się w nieładzie.

— A jednak... — próbował Potocki.

— Nie, — niepodobieństwo. — Już i tak mam dosyć ofiar na swoim sumieniu.

W parę dni potem przybył do Krakowa minister skarbu Matuszewicz.

Wysłany był jeszcze w grudniu przez Radę ministrów do Paryża dla widzenia się z Napoleonem.

Teraz wracał.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Wszystkie uszy chciwe były posłyszeć, co przywoził.

Ks. Józef najpierwszy pospieszył do niego.

— I cóż? — zapytał.

— Wielki cesarz jest niedostępny... — odrzekł Matuszewicz.

— Jako? — zapytano ciekawie.

— Na wszelkie moje usiłowania dotarcia przed jego oblicze, odpowiadano mi — cesarz nie przyjmuje. — odrzekł ze smutkiem przybyły.

Cisza zaległa. Wszyscy, nie wyłączając księcia Józefa, pospuszczali głowy.

— Nie tylko do cesarza, ale nawet do jego najbliższej rady dostęp mi był wzbroniony, — dodał Matuszewicz.

— Ależ to okropne!

— To wprost nieuczciwe.

— Za tyle krwi przelanej, za tyle ofiar, — wołano z oburzeniem.

— Nie potrzebuje nas, widać, — dodał ktoś, spoglądając w stronę ministra wojny.

A ten zapytał:

— A jakież usposobienie w Paryżu?

— W pierwszej chwili było ogólne zniechęcenie, lecz Napoleon umiał tak przemówić, tak sypnąć obietnicami, że zniechęcenie zmieniło się w dawne uwielbienie, — odrzekł zagadnięty.

Poniatowski swobodniej nieco odetchnął.

— Zbiera teraz nową armję, — zbiera nawet tych, którzy dopiero w roku przyszłym powinni wejść do wojska, — zbroi się i myśli o nowej wojnie, — mówił Matuszewicz.

— O nowej wojnie? spytano.

— Mówią, że za cztery miesiące będzie znów nad Wisłą.

Wszyscy z niedowierzaniem spojrzeli.

Z niektórych piersi wyrwało się lekceważące:

— Eh, — poparte właściwym gestem.

— Pełno tego w Paryżu, pełno nawet we Włoszech, o które zawadziłem, — dodał Matuszewicz.

Książę Józef zmarszczył czoło.

Z tem wszystkim wieść o nieprzyjęciu polskiego ministra osłabiła wiarę w Napoleona.

Cała Rada przechyliła się na stronę cesarza Aleksandra I-go.

Przybywali też od niego posłowie.

Przybywały listy.

Na wszystko ks. Józef odpowiadał:

— Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Dosłowne.

— Minister wojny jest pozbawiony wszelkiego zmysłu politycznego, — mówiono.

— Lub otumaniony jakąś niewidzialną siłą Napoleona, którego uważa jako Boga wojny, — dodawano.

Z tem wszystkim bawiono się. Bawiono, jakby żadna troska nie nurtowała tych serc szlacheckich, odczuwających niedolę kraju. Bawiły się damy, bawili się ministrowie, generałowie i dowódcy. Bawił się mimo wszystko i ks. Józef. Bawiło się wojsko. Wszyscy, wszyscy zgola.

A w Księstwie Warszawskiem?

Przygnębienie i smutek.

Jeżeli zaś wszędzie było przygnębienie, tem boleśniesz było w domu pana wojskiego w Męcicach.

Pan wojski przyszedł wprawdzie do przytomności dzięki staraniom Zygmunta Szerokiego.

Ten choć zostawił palce od nóg w śniegach Rosji, zachował jednak wiadomości lekarskie. Teraz suwając niewyleczonemi nogami, mógł się za doznaną gościnność wypłacić.

Uratował narazie wojskiego. Oboje z Basią czuwali przy nim.

Pani Eliza bowiem uszczęśliwiona z powrotu syna, od czasu do czasu tylko zaglądała do chorego.

Miała też prócz tego niemały kłopot.

Modest zapowiedział zaraz na wstępie:



— Wielu oficerów ze sztabu najjaśniejszego cesarza Aleksandra I-go przybędzie tu późnym wieczorem na postój. Wysłany zostałem dla przygotowania kwatery, — dodał.

I chociaż serce mu się krajało z powodu choroby ojca, oboje z matką krzatali się koło przygotowań.

— A jakże tam ojcu? — pytał Modest co chwila.

— Przyszedł do przytomności, — Basia jest przy nim z chirurgiem, — odpowiedziała matka.

— Ach, Basia, — ona najlepiej potrafi go ukoić, — myślał Modest. — I usposobić dla mnie, — dodawał z uśmiechem zadowolenia i pewności siebie.

Spotkał ją nawet idącą do pokoju chorego, — chciał wziąć za rękę, lecz ona właśnie niosła jakieś leki, — miała obie ręce zajęte. Wsunęła się więc spieszenie, nie rzucając mu ani słówka.

— Poczciwa dziewczyna, — przejęta jest chorym, będę miał z niej dobrą żonę! — pomyślał.

Nie śmiał jednak wejść za nią do pokoju ojca. Matka mu mówiła:

— Nie wchodź dziś, — gdy się wzmocni, — pójdziesz jutro na pożegnanie.

I na sam ten wyraz westchnęła. Matka bowiem jako matka cieszyła się tylko, że syn, którego już oplakiwała, zjawił się nareszcie.

Zapowiedziani oficerowie ze sztabu jego cesarskiej mości Aleksandra I-go zjawili się po północy.

Zapowiadali sobie przyjemny postój w domu rodziców młodziutkiego adepta ich pułku. Uprzedzeni przez Modesta o nagłej chorobie ojca, spuścili nos na kwintę.

Zastosowali się wszakże do jego prośby; zachowali się dość cicho.

Pani wojska, widząc syna w gronie nowych kolegów, wsunęła się do pokoju męża. Miała nadzieję, że go przychylnie usposobi dla syna. Lecz chory spał, Szerski nie pozwolił go budzić.

— Trzeba unikać wszelkiej emocji, — gdyby drugi atak nastąpił, nie ręcę za nic, — mówił.

Westchnęła biedaczka i zapytała:

— A jutro?

— Jutro, — zobaczymy. — Teraz niech jejmość dobrodziejka raczy spocząć.

Na drugi dzień Modest odjeżdżał.

— Muszę się widzieć z ojcem, — nalegał.

— Dobrze, — zdecydował lekarz po krótkim namyśle, — bez żadnych eksplikacyj.

Wszedł więc. Wszedł ze skruszoną i rzeczywiście bolejącą miną.

Wojski uprzedzony o tem przez Szerskiego, spojrział na syna, pozwolił mu się w rękę pocałować, lecz nie rzekł ani słowa. Nie dał nawet znaku, że go ten młody człowiek cokolwiek obchodzi.

Modest szukał oczyma Basi. Nie było jej przy chorym.

Nie było też w pobliżu.

— Sama sobie winna, że się z nią nie pożegnam... — pomyślał Modest.

I odjechał.

---

## XI.

Jednocześnie cesarz Aleksander I-szy przeprawiwszy się przez zamarzną Wisłę pod Płockiem, traktem bocznym na Mławę podążył do Kalisza<sup>1)</sup>.

Pospieszyło tam bardzo wiele znakomitości Prus, Austrii i innych państw niemieckich.

Za pośrednictwem Kutuzowa i kilku przedstawicieli Prus, zięjących nienawiścią do Napoleona, stanęło przymierze między Rosją i Prusami d. 28. lutego 1813 r.

Miano rozpocząć wojnę z Napoleonem.

Chwiejny w swej polityce król pruski Fryderyk Wilhelm sam nie wiedział jak sobie postąpić.

Przeważyły jednak głosy jego doradców i Prusy na 5 milionów ludności w przeciągu kilku miesięcy wystawiły przeszło 200 tysięcy wojska doskonale uzbrojonego.

W tymże samym czasie wojska rosyjskie zajęły Warszawę i rozlokowały się w wielu miastach Ks. Warszawskiego.

Po zawarciu przymierza cesarz Aleksander ustanowił dla byłego Ks. Warszawskiego Radę Nieustającą, na czele której postawił dwóch Rosjan: Łanskoja i Nowosilcowa.

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Kutuzowa.

Przydał im też dwóch Polaków: Tomasza Wawrzeckiego, byłego naczelnika po powstaniu Kościuszkowskim i księcia Lubeckiego, jako ministra spraw wewnętrznych.

Nakazano zaraz napełniać magazyny żywnością i przygotować ubranie dla wojska. Wszystko to zapowiadało nową wojnę.

Naród pozostały w kraju czuł ją w powietrzu, czuł na każdym kroku; po tylu krwawych wypadkach drżał na samo jej wspomnienie.

Przedstawiciele dawniejszych władz, jak wiemy, byli w Krakowie. Radzili i... bawili się...

Liczono też nieco na Austrię. Cesarz austriacki Franciszek II. przez wzgląd na córkę swą Marię Ludwikę, zaślubioną Napoleonowi, zgodził się tymczasowo na neutralność. Z powodu tej neutralności przedstawiciele władz polskich w Krakowie rokowali sobie jakieś nadzieje.

Nadciągnął też i oddziałek pułkownika Biernackiego. Ten szczęśliwie wyleczony ze swoich dwunastu ran, mówił:

— Pragnę tylko, żebym mógł dać odwet za to, że mnie podziurawili, jak sito.

Paweł z innymi ochotnikami, opowiadając o cudownem ocaleniu, rozglądał się po mieście. Towarzysze zaś jego śmiejąc się, mówili.

— Jużśmy byli w ogniu, jesteście starzy żołnierze.

I niejednen chciał pokręcić węża, którego nawet w najpogodniejszy dzień przy marcowym słońcu nie można było dopatrzeć.

Uspodobienie młodego żołnierza było jak najlepsze. Żołnierz ten nie tracił czasu, spędzano większą część dnia na ćwiczeniach wojskowych. Ks. Józef objeżdżał pułki, a jego ukazanie się witane było entuzjastycznie, dodawało otuchy. Rozpogadzało to choć na chwilę jego czoło. Ale utrzymanie tego wojska szalenie kosztowało.

Fundusze zgromadzone ze skarbu Ks. Warszawskiego i z nowonałożonych podatków były już na wyczerpaniu. To też ks. Józef zadawał sobie wciąż pytanie:

— Co dalej?

A w Warszawie?

Średnie klasy opuściły uszy i wzdychały, mówiąc:

— Może tam w Krakowie co uradzą.

Rzemieślnicy mniej zamożni klęli na czem świat stoi; tak samo najbiedniejsza ludność. I tak jak w całym kraju oczekiwano jakiegoś hasła z Krakowa i poddawano się nowemu porządkowi.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Warszawy, Jagusia, córka Piotrowej zieleśniarki przyszła do hotelu Angielskiego, jak zwykle po odbiór pieniędzy. Otrzymawszy je z rąk siostry hotelarza, stała jeszcze czas jakiś:

— Czy masz mi jeszcze co do powiedzenia? — spytała panna Joanna.

— Chciałam coś powiedzieć... — o coś panienkę zapytać..., ale nie wiem od czego zacząć...

— Zaczynij od początku, — śmiało, — zachęcała Joasia, uśmiechając się przyjaźnie.

— Bo to, proszę panienki, gdy szli chłopcy, nasi znajomi i krewniacy, a Paweł Garncarek prowadził ich przed ks. Józefa Poniatowskiego, to i myśmy poszły...

— Po co? — spytała panna.

— A no, namówiłam kilkanaście dziewcząt, i chciałyby też iść do wojska.

— Co? — spytała z wielkiem zdziwieniem Joasia.

— A tak, przecież jeżeli chłopcy idą, to cóż my mamy w domu siedzieć, — odrzekła reżolutnie dziewczyna.

— Ależ to nie jest rzecz kobieca iść na wojnę, — odrzekła Joasia.

— Niby to tak, i książę nam to samo powiedział; ale jakeśmy mu zaczęły przekładać, obiecał z nas utworzyć pułk zamazanek.

— Co? — spytała znów panna.

— A tak, rzekł najwyraźniej: pułk zamazanek, czy zamazański.

Joasia długo się namyślała, nim doszła o co chodzi.

Zniecierpliwiona oczekiwaniem Jagusia poczęła:

— To ja sobie myślę, żeby przebrać się za chłopców i pójść za księciem.

— Ależ książę zapewne sobie żartował, mówiąc, że chce z was uczynić pułk amazonek, — poczęła Joasia.

— Gdzież tam, — taki personat! — prze-  
rwała dziewczyna, — mówił zupełnie napra-  
wdę, — nawet mnie pogłaskał i rzekł z miłym  
uśmiechem:

— Idźcie z Bogiem, — przyjdzie i na was  
kolej.

— Otóż widzisz, w tem powiedzeniu księ-  
cia jest największa prawda, — mówiła, namy-  
ślając się Joasia. — Pułku z pewnością z dziew-  
cząt nie uformuje, ale dał wam do zrozumienia,  
że możecie być pożyteczne. Przechowujcie  
w sercach waszych uczucie do kraju, ucząc te-  
go uczucia młodsze rodzeństwo, — zbierajcie  
grosz do grosza z waszych małych oszczęd-  
ności, szyjcie bieliznę, którą potem dla wojska  
poślemy. Będzie to z was prawdziwie dzielna  
pomoc, prawdziwy pułk pożyteczny, — prawi-  
ła Joasia. Na tę bieliznę dam wam na początek  
sztukę płótna, a jak będzie potrzeba czy rady,  
czy pieniędzy, przychodź śmiało do mnie, —  
mówiła.

Jagusi niebardzo to się podobało.

Idąc wszakże do domu myślała:

— Jak nie można inaczej, trzeba i tak pułk  
uformować... Tak, tak, — mówiła sobie z pe-  
wną stanowczością, — będziemy się nazywać  
pułk zamazański... A jak księżę zawezwie,  
pójdziemy, pójdziemy — wszystkie pójdziemy,  
dodała.

I rozniosła wieść o swoim postanowieniu.



## XII.

A w Europie wrzało.

Wrzało chęcią wojny przeciw Napoleonowi, odwetu za poniesione klęski i upokorzenia. Za przymusowe wystawienie armji podczas nieszczęśliwej wojny z Rosją.

I tak jak cesarz Aleksander I-szy, tak wszyscy wogóle uważali, że to jest jedyna chwila do rozgromienia Napoleona. Więc jak Napoleon przed kilku laty szedł przeciw całej Europie, cała Europa szła teraz przeciw niemu.

W takich warunkach nie można się dziwić, że ministrowie jako i zawiązana u nas poprzednio konfederacja generalna chciała zerwać z Napoleonem, — a pójść w tę stronę skąd sypały się obietnice. Wszystko jednak rozbijało się o opór ks. Józefa Poniatowskiego.

Trzeba było się z nim liczyć, — miał siłę, — miał wojsko.

Zapomniano już teraz o zabawach.

Damy skarżyły się:

— Cóż za życie.

— Gdzież dawna kurtuazja.

— Ks. Józef zestarzał się, — dodawały, ściągając lub wydymając uróżowane usteczka.

Garstka tylko młodych, bardzo młodych panien odczuwała albo raczej przeczuwała smutne położenie kraju. Zawiązało się nawet towarzystwo młodych Polek z Karolcią Potocką na czele. Towarzystwo to miało na celu uświadamianie warstw niższych, miłosierne uczynki i szycie bielizny dla wojska.

A ks. Józef?

Jeżeli wszyscy prowadzili walkę samych z sobą, ten prowadził ją jeszcze goręcej.

— Trzeba raz skończyć, — zawołał pewnej bezsennej nocy.

— A wojsko?... — szepnął mu głos jakiś.

— Znajdzie się ktoś inny... może zdoła je ocalić... — bronił się przed tym głosem.

— A przysięga?

— A honor ojczyzny i naród? — usłyszał najwyraźniej.

— Bronilem, póki mogłem... teraz...

— Tchórz tylko ucieka z pola walki... szeptał głos.

— Tchórzem nigdy nie byłem, — zawołał głośno<sup>1)</sup>.

W tej chwili zapukano.

Był to książę Sułkowski, który niedawno przybył ze swoim oddziałem do Krakowa. Miał zwyczaj odwiedzać przyjaciela, wracając z jakiejś zabawy. Teraz jednym rzutem oka objął niezwykle nastrój ks. Józefa.

<sup>1)</sup> Historyczne.

Spojrzał na Poniatowskiego. Ten spuścił wzrok.

Sułkowski usiadł i bacznie przypatrywał się przyjacielowi. Chwila była ciszy. Znać było, że ks. Józef staczał walkę sam z sobą.

Wreszcie wyciągnął rękę ku przyjacielowi.

— Jutro o 10-tej rano zebranie Rady Konfederackiej, — rzekł przybyły.

— Jutro? — powtórzył Poniatowski.

— Oczekują tam księcia, musisz się stawić, — rzekł przyjaciel.

— Słowo? — nalegał.

— Słowo, — odrzekł z gorzkim uśmiechem minister wojny.

Chwilę jeszcze gość nie odchodził.

Rozgadali się.

— Więc jutro o 10-tej, — słowo? — rzekł ks. Antoni, odchodząc.

— Dałem je, nie złamię, — nie łamałem nigdy, — odrzekł Poniatowski.

Narady nie przyniosły porozumienia; związek konfederacki 30 kwietnia 1813 r. został rozwiązany. Członkowie jego opuszczali Kraków.

Poniatowski został sam ze swojemi — myślami. Wojsko patrzyło na niego, jako na jedyną obronę i otuchę.

A Napoleon?

Ten uspokoiwszy się po doznanych trudach i poniesionej klęsce, wracał do równowagi. Odzyskał dawną energję i stanowczość. Nim dojechał do Paryża, miał już gotowy plan

działania. Układał nowe bitwy. Marzył o nowych zwycięstwach.

Po przybyciu do Paryża zgniótł jednym zamachem spisek przeciwko sobie uknuty; — spadło wiele głów. Krew się polała nawet niewinnych.

Przerażony Paryż uchylił głowę. Za stolicą kraj cały. Zapomniano bólu, — widziano w Napoleonie po dawnemu bożyszcze.

Przywiezione przez Matuszewicza wieści nie były przesadne. Napoleon miał nową armję. Była to armja młoda, niewyćwiczona, — ale była.

Na pierwszą wieść o tej armji w piersiach naszych dowódców serce zadrżało.

Dąbrowski przedzierał się ze swojemi szeregami nad Ren, żeby być na pierwszy rozkaz wielkiego cesarza. Był tam już Dominik Radziwiłł. Było wielu innych. Dla nich Napoleon nie przestał być bożyszczem.

Oczekiwali go nad Elbą.

Ostatniego kwietnia przybył Napoleon do Naumburga w Saksonji, powitał ich przyjaznem skinieniem głowy i wykrzyknikiem:

— Ah, les braves Polonais! (ach, dzielni Polacy).

Słowa te wszystkich uszczęśliwiły.

Władca począł się rozglądać wśród dowódców, jakby kogoś jeszcze szukał.

Wkrótce armja rosyjska, doskonale wyćwiczona, oraz sprzymierzone z nią Prusy pod dowództwem Wittgensteina zastąpiły mu drogę.

— Ależ to kociaki nie żołnierze! — mówili dowódcy wojsk sprzymierzonych, zobaczywszy młodą armję Napoleona.

W niewielkim wąwozie pod Weissfeld Napoleon musiał przyjąć bitwę.

Legło wielu.

Nie osłabiło to jednak dalszych zamiarów władcy.

— Przedzierać się dalej! — rozkazał.

Ks. Eugenjusz Beauharnais szedł ze swoim korpusem przed armją.

Marszałek Ney i Marmont po bokach.

Pod Lützen dnia 2 maja zawrzała walka. Wrzała ona od 10 rano do późnej nocy.

Cesarz nie zsiadał z konia. Nie odejmował od oczu lunety i niestrudzonym głosem dawał rozkazy.

I oto czy urok dawnej potęgi Napoleona, czy też inna jakaś przyczyna, dość, że odniósł zwycięstwo nad dwakroć liczniejszym nieprzyjacielem. Zwycięstwo, w które sami jego uczestnicy zaledwie mogli uwierzyć.

Jeszcze więcej ożył zachwył dla Napoleona. Gwiazda jego zaćmiona klęską w Rosji, nabierała nowego blasku.

Dowódcy wojsk rosyjskich mówili:

— Nieczysta siła w tym człowieku.

Dowódcy wojsk pruskich dodawali:

— Djabeł w nim siedzi.

Niektórzy rzucali:

— Polacy mu pomagają...

A Napoleon, jakby rzeczywiście pchany nadprzyrodzoną siłą, nie spoczął.

Nie dawał też spocząć wojsku.

W kilka godzin po stoczonej bitwie pod Lützen rozkazał:

— Zwrot do Lützen, potem do Drezna.

Mimo kilku nie zawsze szczęśliwych potyczek, Napoleon stanął 8. maja w Dreźnie.

Zwycięstwo pod Lützen rozbiegło się pędem strzały.

Fryderyk August, który po opuszczeniu Warszawy osiadł w Ratyzbonie, w Bawarii, podążył teraz do swojej stolicy.

Odnowił też zaraz przymierze z Napoleonem. Dał mu nawet znaczne posiłki.

Wojsko saskie walczyło znów w szeregach Napoleona.

Ten tak manewrował, iż wojska nieprzyjacielskie nie mogły zmiarkować dokąd zamierza. Stanął nareszcie w dolinie pod Budziszynem nad Szprewą na Łużycach.

Wojska jego spotkały się oko w oko z nieprzyjacielskimi. Pamiętne poniesionej klęski pod Lützen, nie rozpoczynały walki; czekały.

Rozpoczął ją Napoleon. Rozpoczął nowymi, dotąd nieznanymi zwrotami strategicznymi. Po zaciętej, dwudniowej walce wojska sprzymierzone musiały ustąpić. Plac boju należał do Napoleona.

Teraz wśród zwyciężonych coraz więcej błąkać się zaczęła myśl cofnięcia się nad Wisłę. O rozpoczęciu nowej walki nie chcieli myśleć.

Napoleon pomieszał znów ich plany. Cofnął się gwałtownie nad Odrę. Zajął Wrocław 1-go czerwca 1813 r.

Jeszcze chwila, jeszcze kilka wysiłków, a byłby się mógł znaleźć w ks. Warszawskim, — oswobodzić zajęte twierdze. Wszak w księstwie było jeszcze 40 000 starych wyćwiczonych w boju wiarusów. Ludność nawet ks. Warszawskiego, gdy doszła wieść o nowych zwycięstwach Napoleona, mówiła:

— Oho, przyjdą nasi, przyjdą i Francuzi...

I ten i ów szykował się, że pójdzie w szeregi. Pułk zamazanek szył z podwójną gorliwością bieliznę, a dziewczęta mówiły:

— Będzie to dla nowych ochotników .

Jagusia myślała nawet jakby przechować najdelikatniejszą rzepę dla tych, co wróca.

— Pawełek ją bardzo lubi, — gdzie też to się biedaczysko obraca, — dodawała wzdychając.

Przyrzekli bowiem sobie, że jak wróci, to się pobiorą.

W Męcicach tymczasem była teraz większa jeszcze żałoba. P. wojski dostał powtórnego ataku po wyjeździe syna i mimo starań Szerskiego życie zakończył.

— Żeby go był choć pobłogosławił... żeby przebaczył... — mówiła pani wojska, myśląc o synu i zalewała się łzami.

Basia podzielała smutek swej opiekunki, nie mogła jednak podzielać troski o Modesta.

Obraz jego zatarł się zupełnie w jej sercu.

Nie mogła go odnaleźć.

— Niech żyje na pociechę matki, — ale ja go nie chcę... nawet widzieć nie pragnę.

Szerski jak tylko mógł lepiej chodzić wraz z dwoma wyleczonymi rannymi opuścił Męcice.

— Nie przystoi ludziom mogącym jeszcze broń unieść, wylegiwać się za piecem... — rzekł, dziękując za gościnność.

A do Basi się zwrócił:

— Panna Barbara niech też czasem wspomni lekarza, dla którego najtroskliwszą była lekarką.

— Będę wspominać nie tylko pana, ale i wszystko to, com się od niego nauczyła i usłyszała, — odrzekła dziewczyna.

Po wyjeździe Szerskiego i jego dwóch towarzyszy cisza jeszcze większa zaległa. Pani wojska chodziła zasmucona, — płacząca.

Wdowie szaty jeszcze więcej uwydatniały jej bladość i zmarszczki, od których dotąd starannie się chroniła.

Basia bolała nad smutkiem swej opiekunki, nad stratą wojskiego, do którego podczas choroby jeszcze więcej się przywiązała. Starła się ją pocieszać, starała się wmówić w nią, że Modest lada dzień wróci. Lecz ilekroć mówiła o nim, wyrazy zamierały jej na ustach, a w gardle więzło jego imię. Obie rozumiały, że stało się coś między nimi, — jakaś zaporą trudna do przełamania.



Panny, będące na dworze pani wojskiej, podzielały jej smutek, między sobą jednak mówiły:

— Ach, żeby jak najprędzej można się z tego grobu wydostać.

Pani wojska nie wyjeżdżała nigdzie prócz do kościoła, — nikt też nie przyjeżdżał. Bezmierna cisza, cisza gnębiąca otaczała dwór cały. A wiosna w całej krasie coraz więcej rozwijała swoje uroki.

---

### XIII.

Więści o zwycięstwie Napoleona, jako i rozkazy do ks. Józefa, żeby wyruszył z wojskiem nie dochodziły do Krakowa.

To wyczekiwanie stało się wprost niemożliwe.

Austria bowiem napozór neutralna, nie mieszająca się do państw sprzymierzonych przeciw Napoleonowi, zaczęła coraz więcej zdradzać apetyt na Kraków.

Zawdzięczać to można było tajemnym układom Fryderyka Augusta.

Nie był jeszcze pewny zwycięstwa Napoleona, chciał ratować Saksonję.

Chwiejny w swoich zamiarach zrzekał się w myśli tytułu księcia Warszawskiego, czyniąc potajemne układy z Austrią.

Z tego względu wojska austriackie, stojące w niewielkiej odległości od Krakowa, miały nakazaną baczność.

Dowódcy zaś mówili:

— Trzeba wykurzyć Poniatowskiego z Krakowa.

Ks. Józef nie czekał tego wykurzenia. Wyruszył z wojskiem na Podgórze.

Nie wiedział jeszcze o świetnem zwycięstwie Napoleona pod Lützen, miał jednak zamiar zwrócić się na Śląsk, dla połączenia się z jego armją.

Zaraz też po wyruszeniu jego wojsk dnia 3. maja 1813 r. ministrowie opuścili miasto. Wyjechali do wód w Czechach, mówiąc:

— Może tam prędzej będzie można coś stanowczego się dowiedzieć...

— A może i uradzić... — dodawano.

Lecz wojskom księcia Józefa zaraz po wyjściu z Krakowa czyniono najrozmaitsze trudności. Frimont, feldmarszałek austriacki, żądał rozbrojenia wojska.

— Rozbroić wojsko? — spytał nasz wódz zdziwiony.

— Taki wyszedł rozkaz, — odparł obojętnie Frimont.

— Przecież Austria jest neutralną... — odparł ks. Józef.

— Nic nie wiem, — spełniam rozkaz.

Ks. Józef nie posiadał się z oburzenia. Tejże chwili do obozu Poniatowskiego przybył jen. Sokolnicki.

Przynosił rozkaz:

— Najjaśniejszy ces. Francuzów żąda, żeby wasza książęca mość połączył się niezwłocznie z jego armją.

Jednocześnie przyniósł wieść o zwycięstwie pod Lützen. Wieść ta wpłynęła zapewne, że pełnomocnik austriacki po długich

pertraktacjach zezwolił na przejście wojsk ks. Józefa.

Położył jednak warunki:

Broń zapasowa musi iść w furgonach po środku kolumny. Żadnych kroków zaczepnych przeciw Austrii po drodze. Wojsko nie będzie rozdzielało się na flanki, pójdzie jedną kolumną. Armaty pójdą nienabite<sup>1)</sup>.

Warunki te musiał przyjąć ks. Józef. Musiał, — chcąc jak najprędzej wydostać się z zakłętego koła, w którym dłużej pozostawać było niepodobna. Doniesiono mu ubocznie, że Rosjanie ciągną pod Kraków. Wobec nieprzychylności Austriaków, którzy nie omieszkaliby połączyć się z nadciągającym wojskiem rosyjskim, obrona miasta była niemożliwą.

Ciągnął więc Poniatowski przez kraje austriackie w warunkach najnieprzyjaźniejszych. Odmawiano żywności dla koni i ludzi, nie pozwalano postojów, demoralizowano ochotników, namawiając do ucieczki.

Pewnego razu sam książe prócz chleba i szklanki wina przez dwa dni nie miał nic w ustach.

— Gdyby nie ta prześliczna zieloność kłoszącego się zboża, gdyby nie świegot ptaków, myślałbym, że przechodzę przez olbrzymie przestrzenie Rosji, — myślał sobie.

---

<sup>1)</sup> Historyczne.

A do śpiewu ptasząt wtórował mu jego żołądek nękany głodem.

— Ale, co tam ja, — byleby wojsko i konie miały jakie takie pożywienie, — pomyślał.

I powstał z przydrożnego kamienia, na którym podczas postoju obrał sobie punkt obserwacyjny. Począł się rozglądać.

Wtem zapach pieczonego mięsa podrażnił jego powonienie, — mimowoli skierował wzrok skąd go woń dochodziła.

Ujrzał żołnierza idącego wprost ku sobie.

Żołnierz ten z wielką ostrożnością niósł nadziane na ostrzu starego bagnetu upieczone kurczęta.

— Wasza książęca mość pozwoli... — rzekł zbliżywszy się na długość przygodnego różna.

— Co to jest? — spytał książę, powstrzymując się od pochwycenia przysmaku.

— Zobaczyłem kilkoro kurcząt haps, — złapałem, — chlast, uciąłem łby, — oskubałem, upiekłem i przynoszę... — mówił żołnierz, podając kurczęta.

— Możesz sam nie jadt?... — zawahał się książę.

— O wa, — mieliśmy do syta, — inni złapali kilka kur i gąsięta, — odrzekł przybyły.

Książę nie wahał się dłużej. Wziął w palce kurczę i zajadał, jak pierwszy lepszy pacholek. Żołnierz, usunąwszy się na bok, patrzył z wielkiem upodobaniem. Gdy zaś z pierw-

szego kurczęcia pozostały już tylko kostki, żołnierz zbliżył się i podał drugie. Książę, nie robiąc już ceremonji, zsunął je z bagnetu.

— Jak się nazywasz? — spytał ks. Józef, niosąc do ust przypieczone i nieco przydymione kurczę.

— Paweł Garncarek, do usług jego książęcej mości, — ten sam, co przed jego wysokość przyprowadził pod Blachę ochotników.

Książę pamiętał doskonale ochotników, nie przypominał jednak sobie Pawełka. Mimo to rzekł z wielką serdecznością:

— Pamiętam, pamiętam, — a teraz jeszcze więcej pamiętać cię będę.

— Daj Boże, — żebym ci się mógł odwdzięczyć za tę Lukullusową ucztę, — dodał. I poklepał chłopca po ramieniu.

Uszczęśliwiony Garncarek chwalił się przed towarzyszami.

— Poklepał mnie po ramieniu i nazwał Lukullusem.

— Musi to być jakiś wódz znakomity... — zdecydowali słuchacze.

— Albo doskonały kucharz, — co nawet bez masła upiecze kurczęta, — zaśmiał się któryś.

— Kto tam był, to był, — alem szczęśliwy, żem choć trochę pożywił naszego wodza, — odrzekł Garncarek, dojadając cienkiego krupniku.

Takich epizodów możnaby naliczyć nie-mało podczas długiego, nad miarę uciążliwego marszu wojsk księcia Józefa.

A jeżeli wojska te mogły przebyć tę długą w przykrych warunkach podróz, zawdzięczać to należy wielkiej hojności znakomitego wodza.

Nie było biednej kobiety, którejby, spotkawszy nie obdarzył, — nie było kaleki, z którymby nie zamienił słów kilka, dodając do tego monetę.

Dzieci podały mu czasem kwiaty polne.

Zawsze je obdarzył i rozmawiał łaskawie.

Przypatrywały mu się pilnie i nazwały go prostu:

— Schön und sehr gnädig' Herr. (Piękny i łaskawy pan).

Długo potem opowiadano sobie o hojności i dobroci polskiego księcia. To mu ułatwiało przeprawę przez Śląsk, którą Austriacy starali się utrudnić.

Pod koniec czerwca 1813 r. stanął pod Żytawą (Zittau) na granicy Czech i Saksonji.

Słońce, chylące się ku zachodowi, ozłociło wieżyce kościołów niewielkiej miejsciny. Nagle ozwały się dzwony. Rozbrzmiewały wesołym, jakby powitalnym dźwiękiem.

W piersiach strudzonego i zgłodzonego żołnierza serca odpowiedziały w takt dzwonom. Otucha napelniać ich poczęła.

Taż sama otucha wstąpiła w serca dowódców. Niejednemu w oczach stanęły łzy i szepnął:

— Może też przyjaźniejszego doznamy przyjęcia...

I ksiązę Józef to samo pomyślał.

Nie zawiedli się. Ludność miasteczka z okrzykami radości wyległa. Rozgłośnie wołano:

— Polnische Armee! (Polskie wojsko).

Dzwony i okrzyki dodały animuszu. Wjeżdżano z dobrą miną. Strudzenie pierzchło. Głód się uciszał. Prostowano się na siodłach. Piechota dobywała ostatnich sił. Jaki taki pokręcał węża. Pokręcał, choć go nie miał.

A Paweł myślał:

— Tutaj, to dopiero będę mógł przygotować dobre jadlo dla naszego wodza!

— I wina wytrzasnę... Nazwie mnie znów... Bodajże cię zapomniałem!

Nie silił się nawet na przypomnienie. Nie potrzebował się też w onej chwili silić na wyszukanie jedzenia. Zastali na rynku w mieście zastawione stoły. Ludność, co tylko można było, wynosiła <sup>1)</sup>).

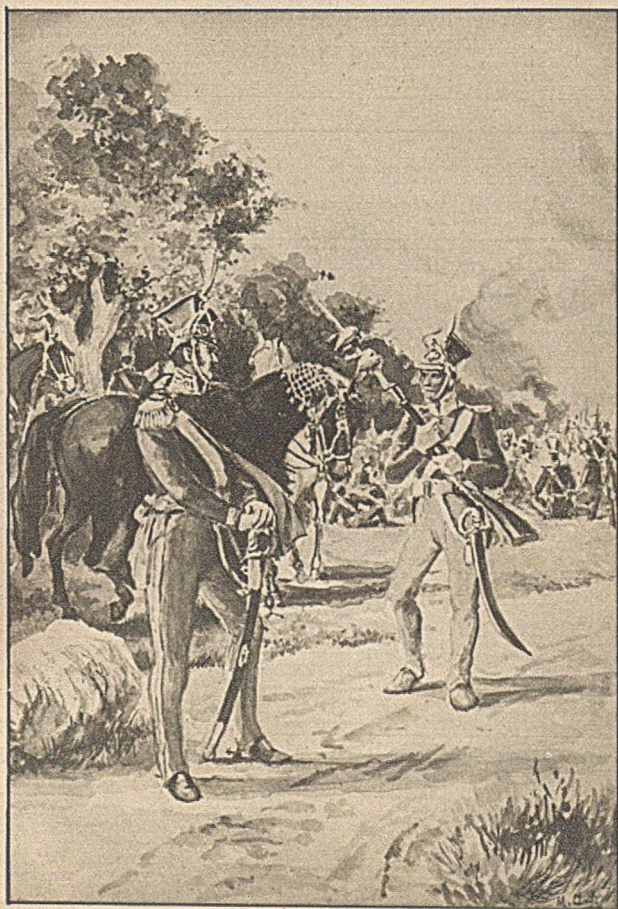
Wprawdzie na tyle wojska była to mucha, — ale mucha omaszczona uprzejmością mieszkańców, dodawała przyprawę.

Dowódców zapraszano do domów. Księcia Józefa zaprosił burmistrz miasta.

---

<sup>1)</sup> Historyczne — Askenazy.





Żołnierz z ostrożnością niósł nadziane na ostrze bagnetu kureczęta.

Na posterunku.

FOTODZIENNIK DZIAŁANIA I POZOSTAŁE  
W WILKIECH W POZNANIU

W domu jego odpoczął. Przepędził noc pierwszy raz od bardzo wielu dni pod dachem, na doskonale usłanem łożu.

Jechał też na drugi dzień odświeżony i wprost odmłodzony na wielki plac, gdzie obozowało wojsko.

W ulicach było pełno ludzi. Ustępowano z drogi, — niemniej przypatrywano się jadącym. Witano ich okrzykami.

Kobiety podnosiły do góry dzieci, mówiąc: — Przypatrzcie się, jak wygląda polskie wojsko. Ten, co na przodzie, — na białym koniu, to wielki bohater, — ksiązę Józef Poniatowski, — dodawały, wymawiając z niemiecka nazwisko<sup>1)</sup>).

Wojsko zbiedzone, źle odziane, powitało wszakże wodza z radością. Paweł stał z innymi na uboczu. Dojrzał go ksiązę i poznał. Skinął.

Chłopak uszczęśliwiony znalazł się przy nim w teje chwili.

— Dałem polecenie, żeby cię przeniesiono do pułku najbliżej mnie będącego, — rzekł ksiązę przyjaźnie.

Garncarek nie posiadał się z radości.

Inni mu zazdrościli.

— Trafiał na głodną chwilę, — to i przydymione kurczęta wodzowi smakowały — mówiono.

---

<sup>1)</sup> Askenazy.

— Na tych kurczętach może daleko zajechać, — dodawano nie bez zawiści.

Wszystkie te owacje zaspakajały tylko ambicję dowódców, wodza i całe szeregi. Nie dały wszakże rzeczy najpotrzebniejszych.

Szeregi miały zniszczone obuwie i odzienie; trzeba było przedewszystkiem pomyśleć o przyodzieniu.

Na rozkaz księcia załatwili tę sprawę jak najspieszniej gospodarze pułków.

Zamówiono ogromną ilość butów i odzienia; — rzemieślnicy nie tylko w Żytawie, lecz okolicznych miasteczkach i wioskach mieli moc roboty.

Osobista kasa księcia i kasa Ks. Warszawskiego, którą szczęśliwie zdołano uratować, dostarczały pieniędzy. Po tygodniu zniszczone mundury były jako tako odświeżone.

Nowa bieda. Brakowało bielizny.

I oto, gdy nad tem rozmyślano, dano znać, że z Polski przybyło kilku podróżnych i pragną przedstawić się księciu.

— Prosić, — rzekł książę, siadając na polowym stołku.

— Zygmunt Szerski, lekarz 5-go pułku waszej wysokości, — rzekł przybyły, — a to moi towarzysze.

I wymienił ich nazwiska.

Serdeczne było powitanie.

Szerski opowiadał dzieje swojej i towarzyszów niedoli, zakończył zaś:

— W Warszawie mówiono nam, że wasza książęca mość konsystuje z wojskami w Krakowie, w drodze dowiedzieliśmy się, że wyruszył przez Śląsk do Saksonji, — więc i my, przebrani po cywilnemu, na zwykłych wozach za nim.

Książę spojrział przyjaźnie.

— Przywozimy też gościniec dla wojska...  
— ozwał się jeden z towarzyszków Szerskiego.

Poniatowski spojrział zaciekawiony.

— Ni mniej, ni więcej tylko trzy wozy naładowane bielizną, — rzekł lekarz.

— Co, co? — zawołał książę.

Otoczenie jego nadstawiło uszu.

— Skądżeście przeczuli, że nam brak bielizny? skądżeście ją wzięli? — pytał książę naprawdę uradowany.

— Przeczuc, że niema bielizny, to bardzo łatwo, a skąd się wzięła: zaraz opowiem, — rzekł Szerski.

— Część zebraliśmy po dworach, gdzie niewiasty pracują nad tem, — część przysłano nam z Krakowa z napisem:

— Od stowarzyszenia młodych Polek.

— Pocziwa Karolcia Potocka, — szepnął książę, którego uszu doszło już w Krakowie o tem stowarzyszeniu.

— Dużo zaś dostarczył pułk zamazański...  
mówił dalej z uśmiechem Szerski.

— Jaki pułk? — spytał książę.

— Zamazański, — powtórzył lekarz, kładąc nacisk na każdą sylabę.

— Cóż to za pułk? skąd? gdzie? — pytał Poniatowski.

— Przecież to wasza księżęca mość raczyłeś dać mu taką nazwę, — uśmiechnął się Szerski.

— Ja? — spytał książe.

Szerski opowiedział wszystko, co słyszał od siostry hotelarza w Warszawie i od wielu innych osób. Zebrane bowiem ochotnice do szycia dla wojska Jagusia ochrzciła tem mianem.

Uśmiano się serdecznie z opowiadania lekarza, niemniej z przywiezionego podarku wszyscy byli zadowoleni.

---

#### XIV.

Napoleon przez swoich agentów znał dokładnie całą korespondencję rządu Ks. Warszawskiego prowadzoną z ces. Aleksandrem I.

Mówił więc:

— Djabeł nie śpi, ces. rosyjski sypie im obietnice nie gorsze od naszych, bodaj lepsze... mogą uwierzyć...

— Gdy przejdą na jego stronę, — jesteśmy zgubieni... Aleksander nie będzie chciał słyszeć o umowie, a Polacy przeciw nam broń mogą obrócić...

— Jest Dąbrowski, jest wielu, — ale niema najważniejszego... — myślał dalej.

I wydał rozkaz:

— Jen. Dąbrowski utworzy korpus i stanie nad Renem!

— Tak, tak, — zawsze to będzie osłona... bądź co bądź Polacy, to dzielne szelmy.

— Poniatowski najwidoczniej nam się sprzeniewierzył... — myślał dalej, nie mogąc go się doczekać.

Gdy więc doszły wieści, że ks. Józef z dość licznymi siłami przyciągnął do Żytawy, Napoleon zatarł ręce z radością i rzucił:

— Bon, bon (dobrze).

— Teraz jesteśmy już pewni powodzenia, — mówił zakładając ręce i przechadzając się z miną zadowoloną. Pogwizdywał nawet. Najbliżsi z otoczenia nie widzieli go już dawno w tak wyborzym humorze.

— Czemuż nie stawi się tutaj, — pytał sam siebie, gdy przeszedł dzień, a oczekiwanego w Dreźnie nie było.

— Odpoczywa zapewne po uciążliwym marszu.. — ośmielił się ktoś rzucić.

— Odpoczywa, cóż to jest? my nigdy nie odpoczywamy!

I począł chodzić wzburzony.

— Marsz, — uciążliwy marsz, — wielkie rzeczy, — z Krakowa...

Pochylił się nad mapą i wodził po niej palcem.

— To spacer, nie marsz, — zawołał po chwili.

— Jeżeli się do wieczora nie stawi, wezwę go! — Wtedy, mój panie, rozprawimy się, jak na to zasługujesz, — myślał dalej despota.

Wczorajszy dobry humor go opuścił. Klął i wymyślał każdemu, kto mu się nawinał.

Pod wieczór jen. Chłapowski, będący wciąż przy cesarzu i mający jakie takie łaski, zjawił się pocichu, dyskretnie.

— Co? — zapytał ostrym głosem despota.

— Ks. Józef Poniatowski przybył w tej chwili.

— Niech przychodzi, — niech zaraz przychodzi! — wołał Napoleon.

Oblicze jego przed chwilą gniewne, rozjaśniło się odrazu.

Wszedł Poniatowski.

Twarz miał zmęczoną, mimo wszelkiego starania, uwydatniały się zmarszczki.

Cała postać chociaż odświeżona i błyszczącym mundurem odziana, wyrażała pewne znużenie.

Napoleon jednak nie zwrócił na to uwagi:

— Jesteś, — jesteś nareszcie mości księżę, druhu mój serdeczny.

I zbliżywszy się położył dłoń na jego ramieniu, wpatrując się bystrym swym wzrokiem.

Ks. Józef składał ukłon, pochylając głowę z należnem uszanowaniem.

— A wojsko — spytał władca.

— Czeka rozkazów waszej cesarskiej mości..

— Dobrze. Kiedyż będzie mogło wyjść w pole? — pytał dalej.

— Przedewszystkiem musi mieć umundurowanie, — odrzekł Poniatowski.

— Jakto, przyprowadziłeś ich nieumundurowanych?

— Byli umundurowani, lecz przez dwumiesięczną bardzo uciążliwą podróż wszystko się rozsypało.



— Dwumiesięczną? — spytał władca zdziwiony.

— Czemużeście się tak wlekli? — dodał.

Poniatowski opowiedział warunki, jakie postawił austrijski minister wojny.

— Szalony, — syknął Napoleon. — Czynił chyba na własną rękę?

— Powiedział: taki mam rozkaz...

— Chien des chiens. — (Pies nad psami) — zaharczał cesarz.

Czerwone plamy wystąpiły mu na oblicze, a na czole zarysowała się gruba pręga.

— Zapłacą oni za to, — zapłacą! — wołał w najwyższym rozdrażnieniu.

Chodził przytem wielkimi krokami, podnosząc od czasu do czasu obie zaciśnięte pięści i zgrzytając zębami.

W takim wzburzeniu nie widział go jeszcze Poniatowski.

Lecz, czy wzburzenie przeszło, czy władca się pomiarkował, dość, że, jakby go nic w świecie więcej nie obchodziło, począł najzupełniej spokojnym głosem:

— Drezno to nędzna mięścina, — żyją tu jak anachoreci, — nie rozumieją zabawy...

— Jaceście wy mogli wytrzymać z tym nudnym Fryderykiem Augustem, jego zafaną, głupią małżonką i brzydką córką? — nagle zapytał.

Ks. Józef w miejsce odpowiedzi uśmiechnął się dyplomatycznie.

— Teatr, opera, — powiadam księciu, — okropne! — niema nawet porównania z teatrem. jaki mieliśmy w Moskwie...

Zasępił się nieco, jakby wspomnienie to ukłóło go boleśnie.

Lecz zaraz odzyskał swój humor sztuczny i rzucił:

— Żałuję, żeśmy nie rozkazali operze francuskiej lub włoskiej, aby pospieszyła za nami

I ciągnął dalej:

— Powiadam ci, gdybyśmy posiedzieli tu dłużej, moglibyśmy zapomnieć, że są piękne kobiety. — Koza przebrana za damę, ubrana po ludzku, wyglądałaby i chodziła tak samo, jak Saksonka.

Mówiąc zaś to, szastał się, krygował, spluwał, wkońcu rozśmiał się na całe gardło ze swego dowcipu.

Poniatowski słuchał i patrzył w milczeniu. Nie mógł się jednak powstrzymać od zrobienia w sobie uwagi:

— Co jemu jest? — obłąd czy komedja?

A Napoleon zmieniawszy nagle ruchy, ton mowy, a nawet wyraz twarzy, zbliżył się do księcia i rzekł poufnie:

— A jednak będziecie musieli jeszcze czas jakiś Fryderyka Augusta widzieć u siebie. — Zawarliśmy z nim nowe przymierze, dostarcza nam wojska... — dodał.

Książę Józef przyjął tę wiadomość w milczeniu. Pomyślał tylko z pewnem zdziwieniem:

— Jakież on ma plany w tej chwili?

Napoleon przeszedł się parę razy po komnacie, a zbliżywszy się wreszcie z założonemi po swojemu na piersiach rękami, rzekł:

— Potem książę Józef Poniatowski zasiądzie na tronie polskim<sup>1)</sup>.

I wlepił w niego wzrok badawczy.

Żaden muskuł nie drgnął na twarzy księcia.

Najmniejszego nie okazał zdziwienia lub rozradowania.

Rzekł tylko spokojnie:

— Najpierwszym moim obowiązkiem i jedyną myślą jest odbudowanie mojej skołatanej ojczyzny<sup>2)</sup>.

— Tak, tak... — szepnął zgrzytliwym głosem despota.

I pomyślał sobie:

— W ten czy ów sposób musi mi służyć... — musi do końca!

I jakby na potwierdzenie tej myśli, tupnął nogą w posadzkę.

Oficer służbowy myśląc, że to hasło dla niego, uchylił drzwi dyskretnie.

— Czego?... nie potrzebujemy nikogo, — rzucił twardym głosem cesarz.

Książę Józef uważając, że posłuchanie i tak zbyt długo się przeciąga, złożył właściwy ukłon.

<sup>1)</sup> Dosłowne.

<sup>2)</sup> Dosłowne.

— Kiedyż wojska jego książęcej mości będą nareszcie widzialne? — spytał cesarz ironicznym głosem.

— Postaram się w jak najkrótszym czasie przedstawić je waszej cesarskiej mości.

— A dużo tam tego?

— Przeszło pięć tysięcy... — odparł Poniatowski. I niezatrzymywany już żadnym słowem wyszedł.

A wyszedłszy, myślał:

— On coś knuje... knuje z pewnością... potrzebuje mnie i moich, — dlatego rzucił mi obietnicę tronu. Nie chcę, nie chcę spełnienia tej obietnicy...

Wstrząsnął się.

— Pragnę tylko odbudowania kraju, — tak, pragnę i do ostatniej chwili życia walczyć o to będąc...

— Ach, żeby można to uczynić przy innej jakiej pomocy... — przemknęło mu przez myśl.

I rozmaite stawiał kombinacje. Trzymanie się jednak Napoleona uważał za najwłaściwsze, — jedyne.

A Napoleon syjąc mu błyskotliwą — obietnicą, jeszcze 2-go czerwca zawarł dwumiesięczny rozejm z wojskami sprzymierzonymi. Wiedział, że poświęca Ks. Warszawskie, że je oddaje na łaskę ces. Aleksandra I-go, ale jemu przecież o Ks. Warszawskie nie chodziło...

Pokonał obecnie Prusy, — zostawił je przy skrawku ziemi, — nasycił się.

Szło mu teraz głównie o to, żeby przejechać sobie cesarza Rosji. Rozejm ten był mu potrzebny dla ocalenia jego własnej władzy.

O warunkach tego rozejmu, a nawet o samym rozejmie nie wspomniał podczas długiej rozmowy z Poniatowskim.

Nie wspomniał i później. Wiedział o nim ks. Józef ubocznie, — o warunkach jednak nie wiedział, jak nie wiedział nikt, prócz tych, którzy je układali.

Marszałkowie francuscy, dowódcy polscy rozlokowani byli, to w Saksonji — to nad Renem, to nad Odrą.

Porozmieszczał je władca w rozmaitych stronach, jak gdyby był panem wszystkich tych miejscowości.

Panem i zwycięzcą.

Utrzymanie takiego wojska kosztowało olbrzymie sumy.

Żołnierz, nie mając co robić, rzucał się na rabunki i rozmaite wybryki.

Zniechęcało to ludność, wśród której pozostawał.

Mówiono więc wszędzie:

— Czy ten rabuś, ten wilk korsykański nigdy nie będzie miał dosyć krwi ludzkiej?...

Sami nawet marszałkowie francuscy niechętnem okiem patrzyli na tę bezczynność. Radzi byliby odpocząć, użyć bogactw zdobytych w Rosji. Słowem, począwszy od najwyższych do najniższych, wszyscy byli znużeni już wojną i wyczekiwaniem.

Najzagorzalsza tylko garstka wielbicieli Napoleona uspakajała:

— Ten wielki genjusz wojenny ma zapewne jakieś zamiary, które nam zwyczajnym ludziom nie przyjdą nigdy do głowy.

Ale takich było niewielu.

Książę Józef w krótkim czasie mógł doskonale stwierdzić to, co słyszał od cesarza o stolicy Saksonji.

Drezno rzeczywiście było cichem, nie dostarczającym żadnych rozrywek miastem. Życie obozowe wystarczało mu podczas wojny. — brak rozrywki podczas przymusowego wyczekiwania działał na niego jak narkotyk usypiający. Natura jego czynna potrzebowała koniecznie działania lub rozrywki.

Dowódcy poszczególnych oddziałów zapraszani przez rodziny mieszczkańskie, mieli rozrywek aż nadto. Wycieczki w malownicze okolice Drezn, zabawy w licznej gronie zapełniały im czas wolny od pracy nad nowozaciężnym żołnierzem.

Żołnierz również znalazł sobie rozrywkę. Ludność chętnie z wojskiem przestawała. W chwilach wolnych od ćwiczeń żołnierz pomagał w domowej robocie. W święto zato miał zapewnione piwo i zabawę. Byli nawet tacy, co uzyskawszy pozwolenie dowódców pracowali w rozmaitych warsztatach. Paweł, będący w pułku Górskiego, otrzymał od niego pozwolenie na pracę w fabryce porcelany.

Pułkownik miał kwaterę przy sztabie ministra wojny, Paweł więc miał sposobność — widywać ks. Józefa.

Książę poznawał go teraz i kiedyś zapytał:

— Po za ćwiczeniami wojskowemi nie masz, co robić, — nudzi ci się zapewne?

— O wcale nie! — odrzekł chłopiec rumieniąc się jak dziewczyna.

— Cóż więc robisz?

— Pułkownik pozwolił mi chodzić do fabryki porcelany tuż pod miastem, tam pracuję.

— Umiesz?

— Toćem z zawodu garncarz, proszę jego wysokości, — odrzekł z pewną dumą chłopak.

Książę uśmiechnął się z tej przechwałki.

— Umiesz już glinę rozrabiać?

— Oho, jakżebym nie umiał! — Kazali modelować jakiś garnek, — zrobiłem, to teraz uczę się polerować.

— Ho, ho! — rzucił książę.

— Ale proszę jego wysokości, najbardziej tobym chciał wyuczyć się takich kwiatów, jak oni tam wyrabiają...

— A gdzież ta fabryka? — spytał książę. Paweł wymienił nazwę.

— No, idź nie marnuj czasu na gawędę! — rozkazał książę.

Młody żołnierz skłonił się, jak tylko mógł najuprzejmiej i odszedł.

Książę stał długo i patrzył za nim.

Potem westchnął i rzekł sam w sobie:

— Każdy, nawet najlichszy żołnierz znalazł sobie jakąś pracę lub rozrywkę... — Nie jest osamotniony, — tylko ja, — ja sam jeden stoję wśród tylu ludzi, wśród tak liczego otoczenia... sam jeden...

Westchnął powtórnie. Tęsknica wżerała mu się w duszę. Rzeczywiście był osamotniony.

---



## XV.

Książę Antoni Sułkowski, który trzymał się ciągle Poniatowskiego ze swoim oddziałem, był też jedynym towarzyszem księcia i często do niego przychodził. Zaprzyjaźnieni w Paryżu jeszcze przed wojną z Rosją, przyjaźni tej dawali dowody.

Lecz książę Antoni, nie nosząc tak wysokiego stanowiska jak ks. Józef, nie potrzebował się usuwać od innych dowódców i unikać towarzystw. Nie był więc osamotniony. Odczuwał wszakże osamotnienie księcia. Nie tylko odczuwał, ale wprost martwił się tem.

— Tęsknota i melancholja uczepliły się go zbyt natrętnie... — myślał sobie.

— W ich towarzystwie może się powtórzyć przykra chwila, jaką już przeżył w Krakowie... Trzeba go jakimś bądźkolwiek sposobem od tych nieznośnych towarzyszek chronić... — rozważał dalej.

Pewnego popołudnia, kiedy już przegląd wojska był dokonany, wszystkie czynności i korespondencje załatwione, wszedł do kwatery Poniatowskiego. Zastał go zgnębionym.

Trzymał jakiś papier. Podał go przyjacielowi, nic ni emówiąc.

Sułkowski czytał głośno:

— Do ministra wojny Ks. Warszawskiego, J. O. Ks. Józefa Poniatowskiego!

— Mianujemy tegoż ks. Józefa Poniatowskiego równym wszystkim marszałkom Francji, nadajemy Mu też samą rangę, którą mają nasi marszałkowie.

Jednocześnie przywiedzione przez Niego wojsko polskie, wcielamy jako korpus 8. do armji francuskiej, powierzając nad nim pieczę i dowództwo wyżej wymienionemu ks. Józefowi Poniatowskiemu.

Drezno.

Dan w lipcu 18. 1813.

Napoleon I. cesarz Francuzów.<sup>1)</sup>

List był własnoręcznie napisany i podpisany przez władcę, krzywemi, nie trzymającymi się siebie, jak zwykle, literami.

— Powinszować księciu, powinszować! — rzekł Sułkowski, wyciągając doń rękę.

— Czego? — odparł Poniatowski, dotykając zlekka jego dłoni.

— Odznaczenia, — łaski...

— Mój kochany, — przerwał z niechęcią ks. Józef, żartujesz chyba... Nie widzisz lub nie chcesz widzieć, że cesarz ma najwidoczniej ukryte jakieś względem nas zamiary. Pochlebiam mi, żebym łatwiej mógł przełknąć pigułkę.

---

<sup>1)</sup> Z papierów ks. Poniatowskiego.

I wstał, odsuwając z niechęcią drogocenny papier. Na czoło jego wystąpiła gruba zmarszczka, — wielkimi krokami mierzył pokój, a oczy smutne, zamyślane patrzyły w jakąś dal odległą.

I Sułkowski głęboko się zamyślił. Obaj milczeli.

— Spójrz na datę! — ozwał się Poniatowski.

— Osiemnasty lipca... — przeczytał wyraźnie ks. Antoni.

— Tak, zaraz na drugi dzień, gdy wojsko moje wypoczęte przedstawiło mu się w całej pełni. — Oglądając je, nie miał słów na pochwały i podziękowania. — Ucisnął mi rękę z taką kordjalnością, na jaką umie się w chwilach mu potrzebnych zdobywać.

— Na powitanie wojska: „Vive l'empereur“ odpowiedział raz wyuczonym:

„Niech żyje wojsko“. — W onej chwili szeregi taki zapał ogarnął, iż rzuciłyby się na samego diabła, nie tylko na sprzymierzonych, — mówił Poniatowski z błyskiem w oczach na wspomnienie wojska.

Posmutniał wszakże zaraz i spytał:

— I wiesz, co tego samego dnia uczynił?

— Skądżeż mogę wiedzieć! — odparł Sułkowski, zawieszając wzrok na mówiącym.

— Czynił po raz trzeci starania o zgodę z ces. Aleksandrem I-szym, ofiarując mu wzajemian Ks. Warszawskie.

— Które i tak już jest w jego rękach!... — mruknął gość.

— A wiesz, kiedym ten drogocenny papier otrzymał? — pytał z naciskiem gospodarz.

— Przypuszczam zaraz po napisaniu...

— Dziś, dziś! — przed godziną! — mówił Poniatowski wzburzony.

— Tak, dziś! dziś! Wczoraj bowiem dowiedział się, że Anglja, która obecnie nie występowała jawnie i Szwecja, trzymając się zupełnie na uboczu, sprzymierzyły się przeciw niemu z Rosją, Prusami i Austrią. — No i kiedy ces. Aleksander I-szy dał odpowiedź, że nawet mowy być nie może o żadnych układach! — dodał stając przed Sułkowskim.

— Więc będzie wojna! — wyprowadzą nas z tej beczynności i zakłętego koła! — rzekł tenże.

— Djabli ich wiedzą! — porwał się książę Józef.

— Dziś 2. sierpnia, — kończy się rozejm, — któż wie, co dalej postanowią...

— Ale skądże książę wiesz o umowie, co do naszego kraju i sprzymierzeniu się Anglji i Szwecji? — spytał Sułkowski.

— Ha, ha, ha!... Myślisz, — myślicie wszyscy, że siedzę beczynnie! — Zaśmiał się książę Józef.

— Tak, siedzę, ale mam takich, którzy są mojem uchem i okiem.

— Może to fałszywe wieści... — począł przyjaciel.

— Dałby Bóg! — lecz wieści te zestawione z tym oto papierem dają dużo do myślenia...

Sułkowski odetchnął nieco.

W wyrażeniach przyjaciela widział, że on sam nie jest pewnym powyższych wiadomości, że ten ktoś, co miał mieć oko i ucho, mógł je mieć bardzo niepewne. Uczepił się więc tej myśli sam i myśl tę pragnął wmówić w przyjaciela.

Rzekł więc:

— Schowajmy papier drogocenny, będzie to może kiedyś dokument.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Poniatowski, wrzucając papier do biurka.

— Nim złe przewidywane nastąpi, lub rozpocznie się wojna, pójdźmy się przejść, — a raczej przejechać, — rzekł Sułkowski.

— Bene! (dobrze) ale w zamkniętym powozie! — nie chcę ciekawych oczu, które na mnie spoglądają, jakby chciały zapytać: „...Co ty tu robisz?“ — odparł Poniatowski, pocierając czoło.

— Jeżeli księżę nie chcesz ciekawych oczu, radziłbym się przebrać po cywilnemu. Sasi, a jeszcze więcej Saksonki po pierwszym lepszym sznureczku od epoletów poznają, kto jedzie, i będą oddawali należne honory! — mówił przyjaciel.

— A zatem pozwól! — rozśmiał się Poniatowski. I przeszedł do drugiego pokoju.

Sułkowski zostawszy sam, zastanawiał się wprost jakąby wymyślić rozrywkę, któraby choć na chwilę Poniatowskiego rozweseliła.

Wiedział, że to są rzeczy nielatwe.

— Samo przebranie jest już niejaką dywersją... ale to mało.

Jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

Przeszedł się po pokoju.

Uśmiechnął się i rzekł sam w sobie:

— Tak, tak, — on lubi takie rzeczy... może to go zajmie... choćby na chwilę...

Wtem stanął przed nim dobroduszny gospodarz podmiejski.

Obracał w rękę śpiczasty czarny kapełusz z różnobarwną kokardą i patrzył na niego z wielce gapiowatą miną.

Sułkowski zaczął się śmiać na całe gardło.

— Ależ to pyszne, — to wprost nie do uwierzenia! — wołał.

— Gdybym nie wiedział, że bez meldowania nikt tutaj wejść nie może, — nie uwierzyłbym własnym oczom! — mówił dalej, obchodząc do koła przybyłego.

Rzeczywiście ksiązę był nie do poznania. Miał na sobie długi tabaczkowy surdut, ciemnopopielate szerokie spodnie, długą ciemno-czerwoną kamizelę i wielką niebieską chustkę związaną na szyi.

Niezgrabne trzewiki dopełniały ubrania.

W rękę miał duży sękaty kij, jakim się zwykle posługiwali okoliczni wieśniacy.

Nad tem wszystkim górowała jednak mina tak głupio-dobroduszna, iż pod nią trudno było poznać szlachetną twarz bohatera.

— Ale i acan musisz się przystojnie ubrać! — rzekł książę narzeczem wieśniaczem, nie wychodząc ze swojej roli.

— Ależ naturalnie! — Nie zrobię wam wstydu, mój poczciwczu! — odrzekł, śmiejąc się Sułkowski.

— Wstąpię po drodze do jakiego sklepu, — znajdzie może coś stosownego. — dodał.

— Nie trzeba! — mój kamerdyner jest mistrzem w tym kierunku, — znajdzie więc zapewne i dla ciebie stosowne ubranie, — odparł ks. Józef, spoglądając w zwierciadło.

— Co to ubranie robi z człowieka! — pomyślał, poprawiając niebieski fontaż. — Ha, — może byłbym szczęśliwy, gdybym był tym, na co w tej chwili wyglądam... — myślał dalej.

I czoło jego na chwilę rozpogodzone, zasnęło się znów charakterystyczną zmarszczką. Zagłębił się zaraz w siebie. Myśli znać poszły w kierunku jego wewnętrznego usposobienia i smutnych przewidywań.

Gdy w jakieś pół godziny wszedł Sułkowski, przebrany również za dobrodusznego mieszczanina, zastał go z głową opartą na dłoniach.

— Cóż to, zdrzemnęliśmy się nieco, mości gospodarzu? — zapytał żartobliwie przyjaciel.

Ks. Józef zerwał się jak przyłapany na spełnieniu zakazanego czynu i siląc się na spokój, rzekł:

— I najzwyczajniejszy gospodarz ma swoje kłopoty, które w jego pozycji równają się naj-sroższym kombinacjom politycznym.

Uśmiechnął się jednak:

— No, ale teraz chodźmy! — rzekł Sułkowski, biorąc go pod rękę.

Szli tak chwilę ociężałym krokiem, stosując ruchy do ubrania, jakie ich okrywało.

Słońce lipcowe chyliło się ku zachodowi. Na ulicy pełno było ludzi wracających od pracy.

Gdy wsiadali do fiakra, usłyszeli za sobą:

— Szczęśliwcy — nie potrzebują śnać ciężko pracować!...

— A wystrojeni! jadą chyba na wesele!... — odrzekł drugi poczciwiec.

Głos ten upewnił ich o doskonałym przebraniu. Rozśmiali się. Nie kazali nawet budy podnosić. Rozsiedli się wygodnie.

— Za miasto! — rozkazał Sułkowski.

— W którą stronę? — zapytał flegmatycznie woźnica, nie uchylając kapelusza.

— Strehlen!<sup>1)</sup> — rzucił ks. Antoni.

— To — daleko, czy i zpowrotem? — zapytał.

— Tak! — rzekł ks. Józef.

---

<sup>1)</sup> Przedmieście Drezna.



— Ho, ho, ho! — zdziwił się woźnica... —  
To drogo kosztuje...

I obejrzawszy się na siedzących, wykrztusił:

— Dacie trzy talary?...

Poniatowski chciał przyjąć tę wygórowaną cenę, lecz Sułkowski go powstrzymał i rzekł:

— Półtora!...

— Mało! — odparł woźnicą, nie ruszając z miejsca.

— Poszukamy innego! — odrzekł ks. Antoni, zabierając się żeby wysiąść.

— A długo tam będziemy? — spytał dorożkarz.

— Godzinę, może dwie! — mówił Sułkowski, któremu ks. Józef zostawił przyjemność umawiania się o cenę.

— Ho, ho! — zaśpiewał znów po swojemu dorożkarz.

— To chyba w nocy wrócimy... — Zresztą dacie dwa talary, jeżeli będziemy tam dwie godziny?

— Dobrze! — zgodził się Sułkowski.

— I napiwek?...

— To będzie zależało od jazdy.

— Hm! — mruknął dorożkarz i zaciął konie.

Ks. Józef gryzł wargi, żeby nie rozśmiać się z tego targu.

Przedmieście nie przedstawiało nic osobliwego. Małe domki otoczone ogródkami, pełnemi pospolitego kwiecia.

Nad drzwiami okazańszych domów zaknięta była gałąź jedliny, i widniał napis:

Weinstube und Restauration.

Pozór jednak tych przybytków nie zachęcał naszych wykwinłnisiów.

Poniatowski zdał się na łaskę swego towarzysza. Nagle Sułkowski zawołał:

— Skręcić w boczną ulicę!

Woznica spełnił rozkaz i uśmiechnął się.

— Do jakiegoż Eldorado mnie wiesz? — spytał ks. Józef.

— To moja tajemnica! — odrzekł, śmiejąc się Sułkowski.

Rozglądali się obadwaj.

— Ach! — rzekł Poniatowski, jakby nagle sobie coś przypomniał. — Halt! — zawołał na woznicę.

Ten spełnił rozkaz i obejrzał się z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Myślałem, że gdzie indziej!

Stanął przed dość dużym domem, którego kominy i zabudowania świadczyły, iż mieści w sobie jakąś fabrykę.

Rzeczywiście nad głównemi drzwiami widniał napis:

„Fabryka porcelany“.

— Pozwolisz, że na chwilę wysiądę... — ozwał się książę Józef do towarzysza.

Sułkowski skłonił się uprzejmie.

Godzina była już spóźniona, — fabryka zamknięta. Długo więc błądził przybyły, nim znalazł kogoś, z kim mógł się rozmówić. Wyszedł nareszcie jakiś człowiek z fajeczką w ustach, w kamizeli, szlafmicy i pantoflach.

— A co to? — spytał niechętnie.

Książę uchylił kapelusza.

Gospodarz raczył kiwnąć głową.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy tu pracuje Paweł Garncarek, młody żołnierz polski? — spytał książę.

— Ja, ja! — Ale jego teraz niema!

— Domyślam się. — Chciałem tylko zapytać, czy chłopiec ten pracuje pilnie i czy ma zdolności, — mówił książę.

— Tak, tak, — pracuje, ma zdolności nawet do rysunku, — ale trudno się z nim rozmówić! — gada tylko po polsku!... — odrzekł z pewnem lekceważeniem fabrykant.

— A czy mógłby się poduczyć kwiatów z porcelany?

— Dlaczego nie, — ale to dość kosztuje...

— A ileż to kosztuje na miesiąc? — spytał książę.

Fabrykant wymienił dość dużą sumę. I zaraz dodał:

— Przez miesiąc, to on się wiele nie nauczy, lepiejby na rok.

— Na rok nie można, — to jest żołnierz, łada chwila może być powołany, — ale płacę

za miesiąc i proszę zwrócić na niego pilną uwagę.

To mówiąc, książę podał żadaną sumę.

I czy woreczek, doskonale pękaty i przeświecający złotem, czy przyjęcie odrazu bez targu wygórowanej opłaty, czy całe zachowanie się przybyłego tak zaimponowało fabrykantowi, że wyjął fajeczkę z ust i zatknął ją za kamizelkę, a szlafmycę prędkim ruchem zsunął z głowy. Roześmiał się też bardzo przyjaźnie, zważył dukata na szerokiej dłoni i schował go do kieszeni. Przybyły polecił raz jeszcze swego protegowanego, a skinąwszy głową, śpiesznie odszedł. Fabrykant posunął swą uprzejmość do tego stopnia, że odprowadził go aż za próg. Czekał nawet aż gość wsiedzie do dorożki.

Przypatrywał mu się nawet pilnie, potem mruknął:

— No, no... — to chyba jaki graf polski...

---

## XVI.

— Więc gdzież teraz jedziemy? — spytał książę, siadłszy obok towarzysza.

— To moja tajemnica!... — powtórzył tenże.

Widząc wszakże, że książę dość niechętnie przyjął tę odpowiedź, uśmiechnął się i rzekł:

— Przypomniało mi się, że tu mieszka jakaś wróżka, o której najrozmaitsze dziwy opowiadają...

— Wróżka? — spytał Poniatowski.

Lubił on wszelkie przepowiednie, a nawet choć pozornie śmiał się sam z siebie, przykładał do wszelkich nadzwyczajności pewną wiarę. Przypomniawszy sobie „Białą damę“. Opowiadano mu, że widziano ją schylającą się nad jego kołyską, a w życiu kilkakrotnie mu się ukazywała.

Obejrzał się nawet i teraz, czy gdzie jej nie ujrzy. Nie. Słońce stanąwszy wielką kulą na firmamencie, rzucało ostatnie swoje promienie.

Drzewa kołysały się spokojnie, zapach kwiatów dochodził z licznych ogródków. Cza-

sem ktoś wyrzał przez otwarte drzwi, — spojrzął przechodzień, i poszedł w swoją drogę. Słowem obrazek zwykły, codzienny. Nic nie zwiastowało żadnej nadzwyczajności.

Poniatowski potarł ręką czoło i powtórzył:

— Wróżka?

— Może księżę nie chce widzieć tej nadzwyczajności? — spytał Sułkowski.

— Owszem, owszem! — odrzekł tenże.

Woźnica jechał powoli i nie pytając się o nic, stanął przed domkiem, otoczonym ogródkiem.

Napozór nie różnił on się niczem od innych. Przy bliższem jednak przypatrzeniu się różnicę łatwo było odnaleźć. Przy wejściu stały na straży dwa świerki, na których było pełno wielkich gniazd ptasich. Ogrodzenie stanowiły szczelnie poplątane rośliny, z pomiędzy których wyglądały krwisto-czerwone malwy.

Dalej ogródek nie miał kwiatów, ani żadnych roślin, był tylko wyłożony w dziwne znaki drobnemi kamieniami, żuźlami z żelaznych pieców, skorupami garnków, odpadkami z fabryki porcelany i sterczącymi, jak gwoździe, kośćmi.

Kości te jak i wielka rozczapierzona nade drzwiami sowa z wydartemi ślepiami niemiłe czyniły wrażenie.

— Brrr! — wstrząsnął się księżę Józef. — Któż wie, po czyich kościach stąpać będziemy?

I starał się je omijać.

— Przybytek wróżki musi się czemś nadzwyczajnem odznaczać! — szepnęła Sułkowska, stąpając również ostrożnie.

— Przygotujmy się na wiele innych jeszcze nadzwyczajności! — dodał, śmiejąc się.

Nie wierzył w żadne wróżby. Brał rzecz całą ze śmiesznej strony. Urządzał sobie i księciu rozrywkę.

Drzwi do sieni były otwarte. Nie pukając weszli. Nie zastali nic osobliwego.

Tylko woń spalonych ziół, włosów ludzkich i sierści niemile uderzyła ich powonienie. Drzwi na prawo zamknięte były na jakiś nigdzie niespotykany zamek, przewiązany garścią nieczesanych konopi.

Na lewo były drzwi takie, jak wogóle we wszystkich mieszkaniach podmiejskich. Żaden głos z wewnątrz nie dochodził.

Zapukano. Cienki, a razem chrapliwy głos się ozwał:

— Herein! (wejść).

Poniatowski się zawahał. Znać było, że jego wrażliwa natura doznawała pewnego wzruszenia. Rycerz, stawiający mężnie czoło na polu bitwy, — nie śmiał drzwi otworzyć.

— Może zawrócimy?... — szepnęła towarzyszy, widząc jego wzruszenie.

— Ależ, nie! — wejdź! — odrzekł książę.

Sułkowski drzwi otworzył, dając pierwszeństwo przyjacielowi. Taż sama woń, co

w przedsiönku, tylko jeszcze silniejsza przywitała ich na wstępie. Ogromne dwa koty jeden czarny, drugi biały powitały ich przeraźliwem mruzeniem. Obwąchały ich do koła i poszły położyć się u stóp siedzącej na wysokiem wzniesieniu kobiety.

Długa szkarłatna szata, pokreślona w czarne kabalistyczne znaki, okrywała jej postać. Wielki czarny welon, zarzucony na wysokie bardzo upięcie głowy, osłaniał szczelnie twarz jej. Skóra wielkiego świecącego — węża, zwinęta bardzo misternie przytrzymała welon na wierzchu głowy. Długa, lśniąca laska zakończona, sterczącą na niej sową z wydartemi ślepiami, stała przy tym tronie, jak berło. Głina ubita stanowiła podłogę.

Od tego obrazu dziwnie odbijały wyścielane o wysokich złożonych oparciach fotele i wielkie świeczniki z woskowemi świecami.

Przysłonięte okna niewiele wpuszczały światła. Zresztą, mrök wieczorny i tak nie pozwalał rozejrzeć się w otoczeniu.

Mimo to wróżka z poza czarnej osłony wlepiła wzrok w przybyłych i zaśmiała się przykrym chrapliwym głosem. Chichot jej długi nieprzyjemnie podrażnił ich uszy. Stuknęła swem berłem trzy razy i dwa najpiękniejsze fotele wysunęły się na środek izby.

Wysunęły się tak blisko do przybyłych, iż wprost zmusiły ich do zajęcia miejsca.

Teraz spostrzegli dziewczynkę dziwacznie ubraną w króciutką żółtą sukienkę, czarne poń-



czochy i ogromne ze śpiczastemi nosami czerwone cichostępy. Na rozpuszczonych włosach splątane kwiaty z ciemnymi włosami zasłaniały twarzyczkę dziewczęcia. Tylko dwoje błyszczących oczu spoglądały z pod tej osłony.

Na dany znak przez wróżkę dziewczynka pochwyciła stojącą w kącie fajerkę z rozżarzonymi węglami i machając nią jak kadzielnicą, rozpoczęła taniec dookoła siedzącej.

Za każdym obrotem stawała, a wróżka z wielkiem namaszczeniem sypała ziola, ukryte w fałdach jej długiej szaty. Zapach ziół nie był przykry, lecz odurzał przybyłych. Chcieli się zerwać i uciec. Nie mogli. Mieli wrażenie że są przywiązani do fotelów.

Gdy dziewczynka ukończyła taniec, podsunęła kadzielnicę pod wzniesienie, na którem siedziała wróżka. Sama zaś zniknęła tak cicho i nagle, jak nagle było jej ukazanie się.

Teraz wróżka zaczęła ciężko oddychać, przechylać głowę na wszystkie strony, a wyciągawszy długą kościstą dłoń, zakończoną paznogciami, jak szpony, w stronę Sułkowskiego, chrapliwym głosem wymawiała wyrazy bez związku.

Na dany znak dziewczynka znów się zjawiła. Wykonała kilka bardzo zręcznych skoków przed Sułkowskim, na zakończenie ukłoniła się aż do ziemi i rzekła:

— Glück, grosses Glück, langes Leben!  
(Szczęście wielkie szczęście, długie życie).

I znów zniknęła.

Sułkowski uśmiechnął się i pomyślał:

— Taką wróżbę każdy dać może.

Chwila była ciszy.

Słysząc było tylko jakieś charkotanie, wychodzące z piersi wróżki. Wreszcie więc się zaczęła jak w konwulsjach. Ujęła potem swe berło, a wyciągnąwszy je w stronę ks. Józefa, dotknęła jego piersi i poczęła najpierw cichym, chrapliwym głosem, potem coraz wyraźniej:

— Hüte dich vor der Elster!... Hüte dich vor der Elster! (Strzeż się sroki).

I padła na wezglowie swego tronu, jakby wyczerpana wielkim wysiłkiem.

Nagle olśniewająca jasność oświetliła ciemną, pełną dymu izbę. W wielkich kandelabrach płonęły woskowe świece.

Jednocześnie słuchający wróżby uczuli, że jakaś dłoń usuwa z pod nich fotele. Zerwali się.

W tejże chwili dziewczynka rozwarła przed nimi drzwi jak szeroko. Odetchnęli swobodniej.

Rzucili na pożegnanie stojącej dziewczynie po kilka sztuk złota.

Chwyciła je ze zręcznością małpki i powtórzyła szeptem:

— Hüte dich vor der Elster!

— Jeżeli ty masz być tą sroką, — nie jesteś niebezpieczną! — rozśmiał się Ponia-towski.

Świeży powiew późnego już dosyć wieczoru orzeźwił ich nieco.

Srebrne światło księżycy, kładącego wielkie jasne smugi, pozwoliło im przebyć najeżony kośćmi ogródek.

Wprędce przyszedli do siebie. Szli jednak w milczeniu.

Księżyc wieszał swe jasne światło na drzewach i domach, srebrzył niemi okna i kładł u ich stóp wielkie białe cienie.

— Prócz małej, tajemniczego urządzenia i stroju nie było nic ciekawego w tej kuglarce! — ozwał się Sulkowski.

— Przepowiedziała ci szczęście i długie życie! — uśmiechnął się Poniatowski.

— Pierwsza lepsza kabalarka bez tyłu przypraw i akcesoryj, to samo powie, — odrzekł towarzysz.

I śmiejąc się dodał:

— Księżca ostrzegła przed sroka, — również bardzo ciekawe!

— Tyle tych srok młodych i starych zastawiało na mnie sidła, że już chyba w żadne się nie złapię! — odrzekł również żartobliwie ks. Józef.

— Niema niebezpieczeństwa! — szepnął.

— Najgorsze, że te wyziewy, a może i cały nastrój nabawił mnie bólu głowy! — rzekł po chwili Poniatowski.

— I mnie to wprost do mdłości przyprawia! — odrzekł, krztusząc się towarzysz.

Nie wsiedli też do oczekującej w oddaleniu dorożki, lecz, wzięwszy się pod ręce, szli powoli, — każąc woźnicy jechać za sobą.

— A gdybyśmy weszli do jakiej winiarni? szklanka jakiego takiego cienkuszku może nas orzeźwić... ozwał się książę Józef.

— Dobrze, ale winiarnie pozamykane! — odrzekł, rozglądając się Sulkowski.

Szli znów przez chwilę w milczeniu.

— Patrz świeci się tutaj! — Przez niedomknięte okiennice widać pełno głów, znak nade drzwiami oznajmuje winiarnię, — a dochodzące głosy najwyraźniej dowodzą, że nie zabawiają się śpiewaniem psalmów, — ozwał się ks. Józef.

Drzwi nawpół otwarte świadczyły, że wejście nie było wzbronione.

Duża izba wcale dobrze oświetlona, napełniona była gośćmi. Byli to po największej części wojskowi francuscy i sascy, zabawiający się przy szklanicy bardzo wesoło.

Szlify i akselbandy świadczyły o ich stopniu wojskowym.

— Mogą nas poznać! — szepnął ks. Józef, marszcząc brwi niechętnie.

— Każmy sobie podać przed dom po szklance! — rzekł Sulkowski.

— Zwei Rhein! (Dwie reńskiego) — rozkazał.

Usiedli na ławeczce przed domem.

Uprzejmy winiarz, jakby złapany na gorącym uczynku, że tak długo — bude ma otwartą, własnoręcznie przyniósł wino mówiąc:

— Nie mogłem się wymówić, — sama starszyzna.

— Różnie bywa! — odrzekł dobrodusznie Sułkowski, biorąc szklanę.

Zapłacili z naddatkiem. Odszedł zadowolony. Śmiechy i żarty nie ustawały w izbie. Słysząc było każde słowo. Mówiono po niemiecku i po francusku.

Wymysły, klątwy, przechwałki mieszały się ze śmiechem. Wreszcie posypały się niechętnie i niepochlebne słowa dla Napoleona.

— Poprowadził nas do Rosji, — pies z nim! — gdyby nie Polacy, byłby sam zginął!

— Mniejsza o niego, — ale żeby przynajmniej opamiętał się teraz i pozwolił nam użyć skarbów, któremi obłowiliśmy się w Moskwie.

— Tobie tylko skarby i używanie, a nie pamiętasz, ile to ludzi zginęło w śniegach... — ozwał się głos jakiś.

— Zginęli, to nie wstaną! — odrzekł jakiś Sas łamaną francuszczyzną, — a nam nie wiedzieć, po co teraz jeszcze każą łba nadstawiać.

— Wszystkiemu winni Polacy! — cesarz im ufa i obiecuje państwo ich odbudować! — ozwał się głos nowy.

— A niech sobie buduje, co nam do tego? — my pragniemy pokoju! — krzyczał inny.

— W ręce wasze! — dodał stukając się szklanką.

Kolejka poszła ochoczo. Niektórzy przyspiewywali. Znać było, że wszystkim szumiało w głowie. Powstała sprzeczka.

— A ja wam powiadam, wszystkiemu winni Polacy! — darł się głos piskliwy.

— Pies z nimi! — ozwał się pierwszy mówca.

— Głupcy i tyle! — dorzucił inny.

— Gdybym był Polakiem, tobym dowódcy powiedział:

— Idź sam, — ja nie pójdę!

— Ale! — oni swoich dowódców tak słuchają, że nawet najprostszy żołnierz w Rosji nie śmiał po nic ściągnąć ręki, bo im dowódca zakazał.

— A już w Poniatowskiego wierzą jak w Pana Boga.

— Albo i więcej!

— Dzielny to wódz! — ozwano się jednogłośnie.

— Szalony, że krew swoją przelewa, nie wiedzieć po co!

Słuchający tej rozmowy pod oknem, spojrzeli po sobie.

Po twarzy ks. Józefa przemknął bolesny nader wyraz.

— Może i mają słusność.. szepnął stawiając szklanę.

— Chodźmy! — dodał wstając.

Wsiedli do dorożki.

Sulkowski rozkazał:

— Do miasta!

## XVII.

Upłynął czas cichego rozejmu.

Napoleon nie dawał żadnych rozporządzeń do prowadzenia wojny, państwa zaś sprzymierzone zbierały na gwałt wojska.

Siły ich wynosiły przeszło 800 tysięcy doskonale wyćwiczonego żołnierza, odpowiednią ilość dział, amunicji i wielkie zapasy żywności. Armja Napoleona wynosiła zaledwie połowę tego. Miał nóż na gardle.

Czekał.

A wśród tego czekania, jakby dla zamydlenia oczu, zajmował się wprost drobnostkami. Udawał doskonały humor.

Gdy książę Józef na drugi dzień po odebranej dziwnego rodzaju nominacji zjawił się w pałacyku, zajmowanym przez Napoleona, zastał go przed wielkim stołem założonym papierami i mapami, które skrzętnie składał jedne na drugie.

Oczy niespokojne biegały mu po stole i nim je zwrócił na przybyłego, pochwycił jakiś papier i skrzętnie wrzucił pod oponę stół nakrywającą.

Potem dopiero z nader uprzejmym uśmiechem, rzekł:

— Ah, bonjour!

— Czuję się w obowiązku podziękować waszej cesarskiej mości...

— Oh, — przerwał Napoleon, — dawno się to księciu należało.

I nagle spytał.

— Wiesz książe zapewne o balu u króla saskiego?

Poniatowski uśmiechnął się i rzekł:

— Otrzymałem zaproszenie.

— Ni stąd, ni zowąd nasz Fryderyczek wyskoczył z balem... — bal u tego pobożnisia! — Ha, ha, ha!

Rzucał przytem banalne dowcipy, nie pozwalając wprost na otworzenie ust przybyłemu.

Po kwadransie takiej rozmowy książe Józef wyszedł z uczuciem wielkiego przygnębienia.

Zdawało mu się, że cośkolwiek będzie mógł wymiarkować, wtrącić jakieś słówko, dowiedzieć się o dalszych losach nieszczęśliwego kraju, o wojsku.

Nic, nic!

Potał ręką czoło i wrócił do siebie więcej jeszcze przygnębiony, niż poprzednio.

— Szalony! — dźwięczał mu głos, który go doszedł ubiegłej nocy z winiarni.



— Tak, jestem szalony, — a jednak nie mogę postąpić inaczej... honor i sumienie nie pozwala...

Tymczasem bał, o którym wspomniał Napoleon, był przez niego samego wywołany. Cichy, wahający się ciągle Fryderyk August, spełnił rozkaz wielkiego — cesarza.

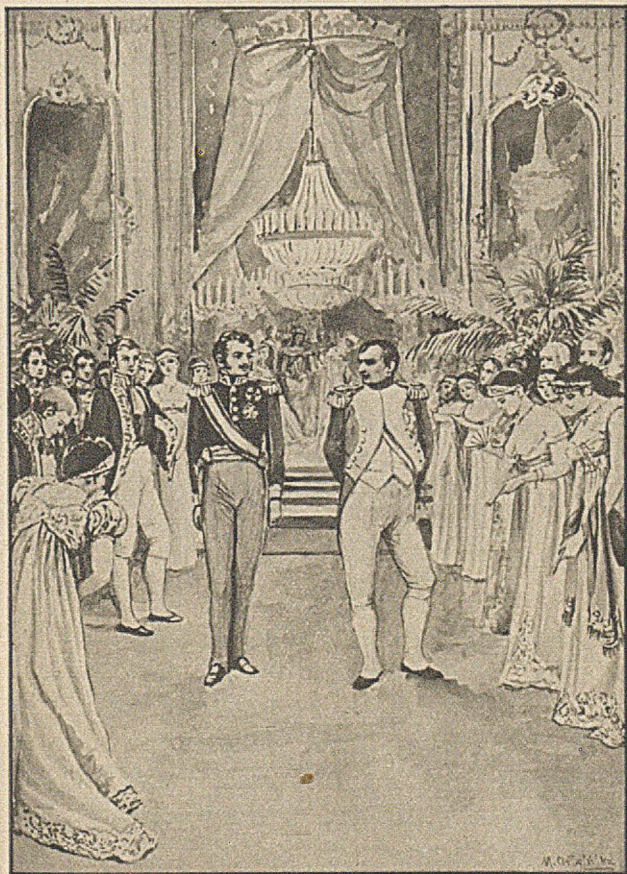
— Bóg wie, co on może mieć na myśli! — mówił sam w sobie. — Gdyby mu się powiodło i odbudował rzeczywiście Królestwo Polskie, nie kto inny zasiadłby na tronie, jeno moja córka... a obok niej naturalnie ks. Józef Poniątkowski... — roił sobie, uśmiechając się do swoich myśli.

I rozpogodziło mu się czoło. Ojciec wyrażał z za wszelkich kombinacyj politycznych.

A w cichym od niejakiego czasu pałacu królów saskich czyniono przygotowania.

Przewietrzano salony, odkrywano z opon meble; wyjmowano z szaf nakrycia stołowe i ogromne, słynne ze swych rozmiarów, puławy. Na tarasach ustawiono kwiaty, skrapiając je codziennie. Na rozciągniętych łukach zawieszano latarnie i lampiony, ukrywając wszelkie braki i uszkodzenia, powstałe podczas kilkoletniej nieobecności rodziny królewskiej.

W dzień oznaczony z nastaniem zmroku, tysiące światła zajaśniało na tarasach. Setki świec płonęło w salonach. Musiano otoczyć pałac barjerą i postawić strażę, ażeby tłumy nadto się nie zbliżały. Było to bowiem wido-



Ks. Józef opuścił swe miejsce i w postawie pełnej uszanowania oczekiwał rozkazu.

Na posterunku.

ALFONZ WILCZYŃSKI DZIAŁALNI I KOLEJNY  
DR. WILCZYŃSKI W POZNANIU

wisko, którego od bardzo dawna Sasi nie oglądali.

Powozy zajeżdżały jeden po drugim. Nadjechał i powóz, wiozący wielkiego cesarza.

Nikt jednak nie wykrzyknął:

— Vive Napoléon! Zrobiła się wprost cisza.

W ciszy tej odgadł on niechęć.

Zmarszczył brwi i zaśmiał się na całego gardło. Siedzący obok marszałek Ney, a naprzeciw szambelan jen. Chłapowski domyślili się przyczyny śmiechu.

Wprost bali się jakiegoś nadzwyczajnego wybuchu, czy ataku, które napadały władcę w chwili wielkiego rozdrażnienia. Lecz ten począł najweselszym w świecie głosem robić uwagi, co do wspaniałego oświetlenia. Gdy wszedł do sali tronowej, wszystkie głowy pochylili się w ukłonie.

Fryderyk August przyjmował go według raz na zawsze nakreślonego ceremonjału.

Napoleon siadł na wzniesieniu. Po prawej jego ręce zajął miejsce Fryderyk August, po lewej królowa, — przy niej infantka. Grono dam dworu otaczało ich licznym wieńcem. Szambelanowie i dostojnicy stali tuż przy wzniesieniu.

Byli też i ambasadorowie państw sprzymierzonych. Ci patrzyli bystrem okiem i badali ogólny nastrój jak gdyby chcieli powiedzieć:

— Co to wszystko znaczy?

Napoleon chociaż zdawał się zajęty poufną rozmową z królem saskim i jego małżonką, posyłał na wszystkie strony spojrzenie.

Gdy ksiązę Józef stanął, aby złożyć należne homagjum, Napoleon powitał go uśmiechem i rzekł dość głośno:

— Ksiązę Poniatowski zajmie miejsce obok najjaśniejszej infantki!

Rozporządzał się, jak gdyby był u siebie.

Wszyscy spojrzeli porozumiewająco. Ks. Józef stanął obok infantki i począł rozmowę.

Twarz Marji Nepomuceny wielce się ożywiła. Wydawała się w tej chwili prawie ładną.

Na wielkiej sali było rojno i... nudno.

Muzyka umieszczona na krużgankach po wykonaniu naznaczonych numerów, umilkła.

Napoleon, nie mogąc nigdy długo usiedzieć na jednym miejscu, zbiegł szybko ze stopni wzniesienia i począł przechadzać się po sali.

Teraz jeszcze większa zaległa cisza. Schylano głowy, usuwano się na bok, pod ściany, zostawiając mu miejsce. Ale on chciał być popularnym. Rzucił więc temu lub owemu łaskawe słówko.

Po jakimś czasie wrócił i skinął na ks. Józefa. Ten opuścił swe miejsce i w postawie pełnej uszanowania oczekiwał rozkazu.

— Prześlicznie dziś wygląda infantka; — pierwszy raz tak blisko jej się przyjrzałem, — mówił Napoleon, spoglądając na księcia. — Przejdźmy się! — rzekł wreszcie.

I szedł znów w głąb sali.

Poniatowski postępował przy nim w należytej odległości.

— Bardzobym pragnął urzeczywistnić moje zamiary i osadzić was oboje na tronie polskim, — rzekł władca, zwracając się do księcia.

Ten przyjął tę wiadomość bez uśmiechu. Owszem, na jego czole zarysowała się bruzda. Chciał coś wtrącić, Napoleon nie dał mu przyjść do słowa; mówił i mówił.

Czasem wskazał jakiegoś ozdobionego epoletami i krzyżem wojskowego, to znów spojrział na którąś z dam, rzucił dowcip banalny i nic więcej. Ci, na których wzrok jego spoczął, byli uszczęśliwieni.

A ks. Józef?

Wprost był torturowany. Nie mógł się oprzeć myśli:

— Kuglarz!... — nowego coś knuje!...

Zawrócili wreszcie.

Muzyka, której przypadło wykonanie nowego numeru, zaczęła grać dość hałaśliwie. Przygłuszyła dowcipy władcy. Głuszyła też myśli Poniatowskiego. A raczej chciał, żeby je przygłuszyła. Uszczęśliwiony też był, gdy nareszcie Napoleon go opuścił. Ale i teraz nie mógł oddać się swobodnie rozmyślaniom.

Najznakomitsi dygnitarze zbliżali się do niego, oddając podwójną, nadzwyczajną uwagę.

Damy ściagały go wzrokiem, lub przechadzając się otaczały, składając hołdy.

— *Hüte dich vor der Elster!* — zabrzmiało mu w uszach.

— Miała słusność wróżka, zna swoje współrodaczki, — wszystkie sroki! — uśmiechnął się sam w sobie.

Etykieta nie pozwalała mu się wydostać. Głowy koronowane sterczały jeszcze na swoim wzniesieniu.

Niedługo jednak czekał. Napoleon, za nim Fryderyk August z żoną i córką poszli do sali jadalnej. Ks. Józef musiał również udać się za nimi. Wszyscy odetchnęli.

Na dany znak muzyka zagrała sentymentalnego walca. Tego tylko czekano. Pary tańeczne zajęły środek sali.

Przy stole Napoleon również był banalny jak na balu. Fryderyk August, chwilami mocno zamyślony, z nadzwyczajną uprzejmością, a nawet uniżonością potakiwał dowcipom władcy.

Królowa, zwracając oczy na jednego lub drugiego, uśmiechała się blado, rzucając od czasu do czasu: „Tak“. O żadnych poważniejszych sprawach wzmianki nie było.

Chwilami panowało milczenie, przerywane tylko szmerem delikatnie zmienianych nakryć lub sączeniem się wina w złociste kielichy.

Nikt nie śmiał podnieść głosu, nie słysząc go z ust głów koronowanych.

Tylko infantka, obok której przypadło miejsce Poniatowskiemu, starała się wieść z nim rozmowę o sztuce, której okazy nagromadzone w muzeach drezdeńskich, dostarczały przedmiotu.

Gdyby księcia nie trapiły gnębiące myśli, mógłby z tej rozmowy wynieść wiadomość, że Marja Nepomucena była niepospolitą znawczynią malarstwa, któremu się z wielkiem upodobaniem oddawała.

Ale myśli jego odlatywały do kraju, i tylko grzecznemi, nic nie znaczącemi słówkami odpowiadał infantce. Gdy wracał do siebie, świt bielił już dachy. W oddali ukazywały się pierwsze brzaski zorzy. Czerwonó-żółte odblaski rumieniły niebo.

Gdy wysiadał, żołnierz stojący przed domem na warcie, sprezentował broń. Poniatowski spojrział na niego. Poznał. Był to Paweł Garncarek. Temu zaświeciły się oczy.

Zrobił ruch, jak gdyby chciał się rzucić do nóg księciu. Pomiarkował się. Służba nie pozwalała.

---

## XVIII.

Ani bal, ani codzienne wojskowe zajęcia, ani pisanie i odbieranie listów, ani wglądanie w potrzeby żołnierzy nie wystarczały ks. Józefowi.

Wieści, jakie odbierał tajemną, sobie tylko znaną drogą o układach Napoleona z mocarstwami, doprowadzały go wprost do rozpacz.

— Za tyle krwi przelanej, tyle poświęcenia, idziemy na całopalenie! — mówił w sobie.

— A przecież i teraz otacza się Polakami, wszak pułk Izydora Krasieńskiego wraz z pułkami litewskimi bezprzestannie go chroni od niebezpieczeństwa... Wszak nasze pułki dopomogły głównie do zwycięstwa pod Budziszynem... sam to przyznaje... A mimo to poświęca nas... poświęca, dla ocalenia siebie... nasycenia ambicji!... — rozważał dalej.

— Ale czemuż ty nie miałeś dość odwagi do działania na swoją rękę? — szepnął mu głos jakiś.

Obejrzał się; nikogo nie było.

— Czemu? — powtórzył i zamyślił się.



— Nie było jedności... nie miano do mnie należytego zaufania... — szepnął na swe usprawiedliwienie.

— Więc teraz cierp, — znoś męczarnię oczekiwania!... — mówił mu głos wewnętrzny.

— Dobrze, ja... ale mój naród?... mój naród!...

I załamał rękę.

Nagle zerwał się i zadał sobie pytanie:

— Winien jestem obecnych klęsk mego narodu, czy nie winien?

Nie umiał sobie na to odpowiedzieć...

Pochylił się nad mapą, mówiąc:

— Drugim i czternastym pułkiem piechoty dowodzi generał Żółtowski, — 2 i 4-tym jazdy Krukowiecki, artylerją Henryk Dąbrowski, — siódmą dywizją Sokolnicki... wszyscy byli przede mną nad Renem i Elbą... oddali się sami Napoleonowi... nie byłiby głosu mego posłuchali...

I znów zadał sobie pytanie:

— Winien jestem, czy nie winien?

W tej chwili doszedł go głos:

— Nie winien! nie winien!...

A głos ten był tak wyraźny, iż książe wprost zaczął podejrzewać, czy kto nie ukrył się za firanką.

Jednocześnie wszedł oficer służbowy, oznajmiając:

— Doktor sztabowy Szerski!

Ocuciło to Poniatowskiego.

— Jego ekscelencja raczy wybaczyć, przyprowadzam tutaj młodego żołnierza, którego francuski sierżant odstawił, jako obwinionego o włóczęgostwo po przedmieściach... mówi, że nie winien...

Ks. Józef spojrzał.

We drzwiach stał Paweł Garncarek i płakał jak dziecko.

— Co się stało? — spytał ks. Poniatowski.

Paweł ośmielony jego wzrokiem mówił przerywanym głosem:

— Wracalem z fabryki... niosłem kwiat porcelanowy... pierwszą swoją robotę... chciałem ją pokazać jaśnie-oświeconemu księciu... jakiś Francuz chciał mi odebrać... nie dawałem... uderzył mnie... potłukł kwiat! oskarża mnie, że się włóczę bez pozwolenia i bójkę rozpoczynam. Doprawdy jam nic nie winien... — dodał, podnosząc oczy na księcia.

Ten uśmiechnął się, pytając:

— O cóż chodzi?

— Gdyby nie ten pan... — rzekł Paweł, wskazując na Szerskiego, — byliby mnie wsadzili na 24 godzin do kozy... a zacząłem...

— No, no... to i dokończysz! — uspokoił go książe, nie czekając dalszej eksplikacji.

I przysunawszy się do biurka, nakreślił:

„Pawła Garncarka wysłałem do Strehlen, był tam z mego rozkazu w fabryce porcelany“.

Podpisał się, a oddając kartkę Szerskiemu, rzekł:

— Dziękuję ci, doktorze, za wdanie się w tę sprawę, — racz ją z dobrym skutkiem zakończyć.

A zwróciwszy się do Pawła, dodał:

— Nie becz, — żołnierzowi to nie przystoi!

Że zaś była to godzina zdawania raportów, ciągle ktoś wchodził, ks. Józef nie mógł oddawać się dalszym przykrym nad wyraz myślom.

W uszach tylko brzmiało mu tak w porę wymówione „nie winien“.

Upłynął czas rozejmu.

Podczas oznaczonych dwóch miesięcy Napoleon nie przestawał cichej negocjacji z państwami przeciw sobie sprzymierzonymi.

Słał kurjera za kurjerem, czyniąc coraz większe ustępstwa. Ustępstwa, na które obruszał się przed dwoma miesiącami. Chciał wprost zyskać na czasie. Poświęcał w zupełności Księstwo Warszawskie i wiele innych ziem zdobytych.

Żądał tylko Związku Reńskiego, Gdańska nad Bałtykiem i Triestu nad Adrjatykiem.

Przed dwoma miesiącami żądania jego byłyby spełnione.

Teraz przedstawiciele państw sprzymierzonych mówili:

— Zna swoje siły, wie, że nie dorównają naszym, — możemy go doszczętnie pokonać.

— Pokonać, zetrzeć, zgnieść!

I z nadzwyczajną zaciętością wołano:

— Wojna! wojna!

Wtedy Napoleon wydał rozkaz:

— Książę Józef Poniatowski wyruszy niezwłocznie ze swem wojskiem w okolice Lipska!

A było to 8. sierpnia 1813 r.

— Nareszcie! — odetchnął Poniatowski.

W kilka godzin po odebraniu rozkazu wojska jego opuszczały Drezno.

Szli w przedniej straży jenerałowie: Umiński, Tomasz Łubieński z piechotą, Karol Zieliński i kilku innych.

Opustoszało Drezno i jego okolice z większej części wojska, bo i marszałkowie francuscy, jak Ney i kilku innych otrzymali rozkazy do wyruszenia ze swemi szeregami.

Lecz zostało jeszcze dużo korpusów pod rozmaitymi wodzami i sam Napoleon z nieodstępą jazdą, złożoną z Polaków pod dowództwem jen. Izydora Krasińskiego.

Ci co wyszli na drugi dzień po wymarszu ujrzeli pod wieczór migocące na niebie złoto-czerwone odblaski.

Noc wyjątkowo ciemna pozwoliła rozpoznać, że to była luna rozlewająca się na wszystkie strony.

— To coś jakby zeszłego roku pod Moskwą! — szepnął jeden z oficerów do towarzysza.

Wkrótce spostrzegli pomyłkę.

Były to ognie rozłożone na wzgórzu przez wojska sprzymierzone, dające sobie hasło, że wszelkie układy nie doszły do skutku.

A dowódcy wojsk sprzymierzonych z radością zacierali ręce, mówiąc:

— Mordowałeś nas, — przyszła kolej i na ciebie, ty burzycielu spokoju całej Europy!

— Zniszczyć go, zgnieść do szczytu! — powtarzano z najwyższą zaciętością.

I tę zaciętość starano się wpoić w swoich żołnierzy.

A ksiązę Józef posuwał się w kierunku sobie wskazanym. Posuwając się, staczał często pomyślnie potyczki. W jednej z takich wzięto do niewoli kilkunastu Prusaków i Rosjan. Było kilku rannych.

Zygmunt Szerski, jako lekarz, opatrywał nie tylko swoich, lecz i wziętych do niewoli. Gdy schylił się nad jednym z zabranych, zadrdzał.

Był to Modest Męcki. Był bezprzytomny, krew uchodziła z rany.

Zaraz na pobojowisku zbadał go Szerski. Rana była ciężka.

Szerski kazał go przenieść do polowego lazaretu.

Zajął się nim nie tylko jako lekarz, lecz jako przyjaciel.

— Doznałem tyle gościnności w domu jego rodziców, jakżebym rad tej nieszczęśliwej matce ocalić syna... — myślał.

— A Basi narzeczonego — dodał.

Przy tej myśli doznał jakiegoś nieprzyjemnego ukłócia w sercu. I zaraz się reflektował:

— Tfui! — dla ciebie idea powinna być głównym i jedynym celem.

Wymował kulę przy pomocy felczera.

— Najgorsze złe usunięte! — rzekł z triumfem.

Felczer pokręcił głową i mruknął:

— I po wyjęciu kuli złe umie się przyplątać...

— Nie przepowiadaj zła! — rzucił doktor i poszedł zająć się innymi.

Gdy po kilku godzinach Szerski znużony niesioną pomocą zbliżył się do Modesta, ten wodził oczami do koła. Był przytomny. Szerski nachylił się nad nim, dotknął jego głowy, wziął za puls. Nagle ranny słabym głosem zawołał:

— Ja ciebie znam...

— Tak... — odrzekł Szerski.

Z oczu rannego łzy płynęły.

Szerski wlał mu w usta łyżkę kojącego lekarstwa, zalecił ciszę, spokój i oddalił się do innych.

Nadeszła noc. Na dworze szalała burza. Wszyscy ranni doznawali wstrząśnienia, — zrywali się, — chcieli uciekać, — majaczyli w gorączce.

Modest zachowywał się spokojnie. Wodził tylko wciąż oczyma, jakby szukał kogoś lub usiłował sobie coś przypomnieć.

Poruszał ustami.

Spostrzegł to dozorca, podał mu napój.

— Doktor... — wyszeptał chory blademi usty.

— Śpij! — odrzekł dozorca.

Lecz ranny<sup>1</sup> powtarzał uparcie:

— Doktor!...

— Przyjdzie nad ranem!... — uspokoił go znów dozorca.

W namiocie polowego lazaretu słychać było ciężkie oddechy, wyrzucane wyrazy bez związku, — łkania, — czasem szept modlitwy...

Modest zachowywał się wciąż spokojnie.

Nagle zaczął majaczyć:

— Matko, ojcze, — przebacz! — jam was niegodny!...

— Basiu, nie gardź mną!... przebacz!

Zaledwie świt począł zwalczać ciemności nocy i pierwsze brzaski czerwonym odbłaskiem rumienić niebo, wszedł do lazaretu Szerski.

Tknięty jakimś niepokojem, wszedł dzień wcześniej, niż zwykle. Skierował się wprost do Modesta.

Nie mógł dobrze widzieć jego twarzy, lecz całe zachowanie się zaniepokoiło zacnego doktora. Wziął go za puls i pokręciwszy głową westchnął.

Brzaski wschodzącego słońca coraz więcej rozjaśniały mrok poranny. Aż oto jeden promień wdarł się przez odchylone płótno lazaretu. Wdarł się i złote smugi kładł na głowy rannych. Jeden promyczek padł na twarz Mo-

desta. Zajrzał mu w oczy.

Rozbudzony, tem światłem, uśmiechnął się.

Twarz jego żółta nabrała pogodnego wyrazu.

Spojrzał na pochylonego ku sobie doktora.

— Powiedz im... powiedz... żałuję... zbłądziłem.., ojcze, matko... Basiu.., przebaczcie!...

— Ach!...

I z tym wyrazem ducha wyzionął.

---



## XIX.

Napoleon, nie uzyskawszy żadnych ustępstw od mocarstw przeciw niemu sprzymierzonych, zmuszonym został do odpornej walki.

Wydawał gorączkowe rozkazy, lecz znać było, że dawna energia go opuściła.

Z tem wszystkiem podzielił armję swoją na 3 wielkie oddziały, rozkazując:

— Marszałek Oudinot i Davoust pójdą na przeciw tego szwedzkiego Bernadottego, liżącego się teraz Prusakom, i zajmą Berlin.

— Vandamme z 40 000 będzie przeszkadzał armji czeskiej.

I zaklął siarczyście.

— A ja? Ja zajmę środek, — pójdę przeciw temu pruskiemu huzarowi Blücherowi. — Zgniotłem go już kilkakrotnie, zgniotę i teraz... — pomyślał.

I stanął na czele nielicznej już teraz swej armji.

— Ten pruski huzar ma już przeszło siedemdziesiątkę... niech go nie porównywają ze

mna...<sup>1)</sup> — myślał dalej z jakąś wprost dziecinną zaciętością, siadając na koń.

I rzeczywiście wyparł Blüchera i odniósł świetne zwycięstwo pod Dreznem 22. sierpnia.

— Ha, — dokonałem swego! — wołał uradowany, zacierając ręce.

Niedługo się jednak cieszył. Marszałkowie jeden po drugim doznawali porażki. Vandamme dostał się do niewoli. Westfalczycy i Sasi przechodzili do wojsk sprzymierzonych.

Rekruci francuscy, nie wyuczeni boju, — nie walczyli, — lecz wprost oddawali się w niewolę.

Armia topniała. Rozpływała się jak wody rzek, wzbierające nadmiernie przy końcu września. Zabierała ją fala wojsk nieprzyjacielskich.

Napoleon marszczył brwi, — klął, — złościł się, a na ukojenie mówił:

— Są jeszcze Polacy... z nimi powetuję wszystkie klęski... prowadzi ich Józef Ponia-towski.

I rzeczywiście prowadził.

Stosunkowo w bitwach, jakie staczał, mniej utracił ludzi niż marszałkowie francuscy. Dopomagali mu dzielnie Żółtowski,

---

<sup>1)</sup> Gerarda Blüchera, znakomitego pruskiego wo-  
dza nazywano pruskim Napoleonem, z po-  
wodu nadzwyczaj szybkiego orjentowania się w bitwie  
i przenoszenia z miejsca na miejsce. — Miał także  
przydomek „Vorwärts“ (Naprzód).

Umiński, Krukowiecki, Sokolnicki, Sułkowski i w. i.

Poniatowski, przezwyciężając wszelkie trudności, znalazł się wreszcie według rozkazu pod Lipskiem.

Przedarł się tam i Napoleon 14. października.

Lecz od drugiej strony zajął przedmieście Blücher.

— Jest ten stary pruski pies! — syknął Napoleon. — Ale to nic, jest przecie ks. Józef Poniatowski!

Zamyślił się.

I oto podczas bitwy na błoniach pod Lipskiem dnia 15. października wobec całej armji zawołał donośnym głosem.

— Za nadzwyczajne zasługi czynimy ks. Józefa Poniatowskiego obywatelem Francji i mianujemy go marszałkiem!

Król neapolitański Murat, dzielny wódz, przyjaciel księcia, osobiście podążył na plac boju z tą wieścią.

Zastał Poniatowskiego po wielkiem zwycięstwie na błoniach Doelitz, jednym z dalszych przedmieść pod Lipskiem.

— Przynoszę księciu zaszczytną wiadomość! — rzekł Murat.

Poniatowski spojrzał na niego z wielkiem zdziwieniem.

— Jesteś księżę mianowany obywatelem i marszałkiem Francji! — rzekł Murat, powtarzając dosłownie wyrazy Napoleona.

Zmarszczył brwi Poniatowski.

— Nie dla sławy i odznaczenia, lecz dla własnej walczę ojczyzny! <sup>1)</sup> — rzucił książkę.

I dalej dawał rozkazy.

Rzeczywiście odniesiono świetne zwycięstwo. Przedmieście było w rękach Poniatowskiego. Francuzi, będący w tej bitwie, wprost byli zdumieni.

— Co za wódz! — co za wódz! — wołali z nadzwyczajnym entuzjazmem.

— Umie zwyciężać, a oszczędza żołnierza!

Rzeczywiście, na polu walki niewielu było rannych i poległych.

Ze sprzymierzonych było dużo poległych i w niewoli. Dostał się i jeden z głównych dowódców austriackich jen. Merfeld. Na innych przedmieściach i w pobliskich wsiach toczyła się dalej walka.

Napoleon miał główne dowództwo. Zwyciężał.

Główne jednak zwycięstwo, bo najpierwszą zawdzięczano Poniatowskiemu. Wojska francuskie zajęły Lipsk dnia 16. października. Napoleon nie posiadał się z radości.

— Cóż znaczy taki Blücher wobec Poniatowskiego, — wołał z dziecięcą, niebywałą u niego radością.

I stanąwszy przy stole nakreślił:

---

<sup>1)</sup> Dostowne.

— Wielkie zwycięstwo, — Lipsk w naszych rękach, — zawdzięczamy to ks. Józefowi Poniatowskiemu.<sup>1)</sup>

— Wysłać wieść tę w tej chwili do Paryża — wołał.

Jednocześnie rozkazał:

— Bić w dzwony.

Lipsk zabrzmiał śpizowemi dźwięki.

Serca resztek armji Napoleona napelniła otucha. Imię Poniatowskiego było na wszystkich ustach. Napoleon marszczył brwi, lecz był pewny wygranej. Dzwony co kilka godzin odzywały się radośnie.

Wtem na wyczerpaną poprzedniemi bitwami konnicę Murata rzuciła się jazda rosyjska.

Zwyciężyła.

Nowe szeregi Dąbrowskiego byłyby klęskę tę powetowały, gdyby miały jakieś posiłki. Przeszkodził temu Blücher. Nie pozwolił przedrzeć się z niemi Neyowi.

Armję francuską wojska nieprzyjacielskie ze wszystkich stron otaczały.

Walka dalsza stała się niemożliwą.

— Spróbujmy jeszcze! — syknął Napoleon.

I wysłał wziętego do niewoli jen. Merfelda do cesarza Franciszka.

---

<sup>1)</sup> Według Monitora, urzędowej francuskiej gazety.

Żądał znów zawieszenia broni na dwadzieścia cztery godziny. Robił olbrzymie ustępstwa. Nic nie pomogło. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Był otoczony żelaznym, najeżonym bagnietami pierścieniem.

Zgrzytnął zębami.

— Nie chcecie ustępstw, utrzymam wszystko! Tak, utrzymam! Jest jeszcze Poniatowski! — wołał.

I z nadzwyczajną energią zmieniał pozycję.

Dowodził, jak za czasów, gdy był jeszcze generałem.

— Ożył! — mówili dowódcy.

Obmyślał nowe zwroty strategiczne.

Poniatowskiemu na te przygotowania zakolała serce. Zapomniał o wielkiem zmęczeniu, o ranie jaką otrzymał w lewe ramię i o ostatniej bitwie.

Nagle wszelkie rozradowanie pierzchnęło.

Resztki Sasów i Wirtemberczyków, trzymających się jeszcze szeregów francuskich, gremjalnie przeszły do wojsk nieprzyjacielskich.

To wkładało na szeregi Napoleona coraz ciaśniejszy pierścień.

— Nie wszystko jeszcze stracone! — wołał tenże, — są jeszcze Badeńczycy — przede wszystkim są Polacy!

I zaraz rozkazał:

— Badeńczycy niech chronią wejścia od północy...

W kilka godzin potem doniesiono mu:

— Badeńczycy otworzyli bramę i połączyli się z Prusakami!

— Zdrajcy! — syknął i zgrzytnął zębami.

— Więc tylko Polacy!...

— Tak ci nie zdradzą!... — mówił.

Dziętnastego października rano wydał rozkaz:

— Książę Poniatowski bronić będzie przedmieścia halskiego od północy! — po wycofaniu się wojsk most na Elsterze ma być wysadzony w powietrze.

Pod rozkazami ks. Józefa znalazło się bardzo wielu Francuzów. Cały oddział.

Książę Józef wysłał ich, powtarzając rozkaz:

— Gdy wojska nasze przejdą, most wysadzić!

Pod gradem kul przechodziły szeregi.

Książę Józef tymczasem wiódł walkę z nacierającym nieprzyjacielem. Nie ustawał na chwilę. Kula karabinowa zerwała mu hełm, — drasnęła w ucho. Krew cienkim sznureczkiem się poląła. Czuł jej gorącość. Nie ustawał jednak, — walczył.

— Zwycięzę lub zginę! — mówił w sobie. Zwycięzał.

Ze wsi Probstheide, położonej wśród ogromnych moczarów nieprzyjaciół został

wyparty. Jeszcze chwila, a będzie zupełne zwycięstwo...

— Jego eksceleńcja raniony... — rzekł Szerski, ujrawszy krew ciekącą.

— Wiem!

— Trzeba ranę opatrzyć! — dodał tenże natrętnie.

— Nie czas po temu!...

— Ależ...

— Walczę nie za Lipsk, nie za Napoleona, lecz za własną ojczyznę!<sup>1)</sup> — odrzekł mu niecierpliwie Poniatowski.

I cofając się dawał dalej rozkazy.

— Ośm mostów na moczarach... gdybyż dostać się do pierwszego... wysadzić go!... — myślał.

Na te wielkie wysiłki patrzył ze wzgórza cesarz Aleksander I-szy.

— Gdybym miał takiego wodza, obsypałbym go dostojenstwami i złotem! — rzekł do kogoś z przybocznych. Czemuż nie chce przejść do mnie!...<sup>2)</sup>

Bitwa wrzała. Kule rozdzierały przestworze; — huk ogłuszał. Dym czarny, gęsty zawisł, jak ponure żałobne welony. Wśród dymu zaświeciły od czasu do czasu iskierki. To błysk strzałów nieprzyjacielskich.

---

<sup>1)</sup> Dosłowne.

<sup>2)</sup> Dosłowne.



Kule jak ciężkie czarne ptaki krzyżowały się w powietrzu. Spadały na ziemię. Nie, — na ciała walczących.

Jedna z nich trąciła w lewą nogę ks. Józefa. Zachwiał się.

W tejże chwili jakaś dłoń go podtrzymała. Był to Paweł Garncarek. Stał tuż blisko, jak-by chciał własną pierśią ocalić księcia.

W tej chwili kula z wielką gwałtownością świsnęła. Paweł nie zipnął nawet, — rozciągnął się jak długi.

Wtem oślepiający blask, potem huk przeniknął przestworze. To pierwszy most wyleciał w powietrze.

Oddział Francuzów go wysadził. Przeszedłszy, nie dbali o pozostałych. O Polaków!

Nieprzyjaciel nacierał.

Jenerałowie Małachowski, Grabowski, Umiński otoczyli Poniatowskiego, prosząc:

— Poddaj się, poddaj się, wodzu! — ocalisz życie!... może ono jeszcze przydać się ojczyźnie!

— Za mną! — zawołał w odpowiedzi.

I rzucił się w nurty wezbranej Elstery...

Nieprzyjacielskie kule, jak kruki na żer, leciały za nim. Jedna z nich zagłębiła się w jego ramię. Owiązał je chustką i płynął dalej.

Obok niego płynęli najwierniejsi mu towarzysze.

Między nimi Zygmunt Szerski.

Podtrzymywali go, starając się wszelkimi siłami dobić do przeciwnego brzegu.

Znać było, że siły go opuszczają.  
Gorączkowym wysiłkiem, pochylony na  
szyję konia, płynął wraz z innymi.

Kula świsnęła...

Jedna jedyna...

Znać dla wielkiego bohatera posłana.

Przeszyła go na wylot.

Krew buchnęła wielką strugą...

Wszelkie usiłowania płynących obok nie  
pomogły.

Fale Elstery porwały ciało wielkiego bo-  
hatera.

Bohatera, który do ostatniej chwili był na  
posterunku.

---

## XX.

Skończone.

Tak...

Skończyło się życie wielkiego bohatera...

Skończyła się wielka epopeja walk naszego narodu. Wielkich jego nadziei...

Przeszło piętnaście tysięcy żołnierza, między nimi wielu generałów — dowódców dostało się do niewoli.

Wielu poszło na tułaczkę.

Najwierniejsi szli dzielić losy zwyciężonego władcy... Napoleona.

Garstka tylko wróciła do kraju.

Wróciła, aby patrzeć na jego niedolę, usypywać mogiły tym, co w odległych krajach polegli.

Roznosili wielkie wspomnienia i temi wspomnieniami żyli.

Wracał i Zygmunt Szerski.

Wracał wprost do Męcic. Dziwnie go tam ciągnęło...

Z wiosną dopiero następnego roku dobił do celu swej podróży. Dwór państwa wojskich spoglądał na niego smutnymi oknami.

Na świecie słyhać było świegot ptaków,  
— tutaj była grobowa cisza. Nikt go ze służby  
nie poznał. Po chwili wyszła Basia.

Miała szaty żałobne, twarz smutną, a cała  
jej wyniosła postać wyrażała wielkie przygnę-  
bienie. Poznała go.

Nie tylko poznała, lecz na lice jej wykwitł  
rumieniec.

Podawała mu obie ręce na powitanie. Chwilę  
oboje poglądali na siebie w milczeniu.

Pierwsza Basia je przerwała.

— Trzy tygodnie temu złożyłam moją  
opiekunkę do grobu!

I łzy stanęły jej w oczach.

Szerski uściskał jej dłonie.

— Czekala i nie mogła doczekać się syna...  
Modest nie dawał znaku życia...

— I nie da!... wyszeptał Szerski.

Basia zwróciła nań wzrok pytający.

Szerski opowiedział, jak i gdzie go spotkał.

— Szczęśliwa matka, że nie doczekała tej  
chwili!... — rzekła w zamyśleniu dziewczyna.

Szerski opowiedział ostatnie chwile zmar-  
łego.

— Szkoda go! — zakończył, — młody  
był, — mógł być wejść na inną drogę... Szkoda  
go, choćby ze względu na pannę Barbarę —  
dodał.

— Na mnie? — przerwała Basia.

— Był jeszcze narzeczoną... — począł  
Zygmunt.

— Przestał nim być od owej pamiętnej chwili!

I cała wzburzona poczęła chodzić po pokoju.

Szerski patrzył, na nią w zamyśleniu.

Wstał i wziął ją za ręce.

— Panno Barbaro! — wyszeptał.

Basia oczy na niego podniosła...

Zrozumieli się.

Za oknem świegotały ptaki, szumiały drzewa, zieleniały pola.

Wszystko zdawało się wołać:

— Wiosna, wiosna, wiosna!

I w ich sercu była wiosna.

Smutne wspomnienia starali się złocić nadzieją lepszej przyszłości.

— Nie wszystko przecież jeszcze fale porwały... powtarzała Basia, gdy Szerski jako mąż jej wpadał w smutek.

— Nie wszystko!... — powtarzał rozjaśniając czoło.

— Kto żyw, powinien stać na posterunku!  
— kończyła pani Barbara.





1993-01-06

05.05.1999

2009-09-02

2011-07-04

2013-08-09

SM  
1  
0  
9  
8  
2